

**CATHERINE GEORGE**

# **Nikczemnik**

*scandalous*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zdaniem większości mieszkańców urok Abbottsbridge polega na tym, że znajduje się ono na uboczu. Urbaniści nie zdołali jeszcze zniszczyć tętniącego życiem miłego miasteczka położonego w kotlinie wśród pól jakby namalowanych przez Constable'a. Lucy Drummond zazwyczaj z czułością nazywała Abbottsbridge domem, ale dziś wieczorem z westchnieniem żalu przyznała w myśli, że wolałaby jechać dobrze oświetloną autostradą. Po ostatnich obfitych opadach śniegu przyszła lekka odwilż, więc poranna podróż minęła stosunkowo gładko. Pod wieczór jednak temperatura znowu spadła poniżej zera i miejscami jezdnia była jak szklanka. Na domiar złego zadymka zredukowała widoczność do kilku zaledwie metrów.

Lucy ciepło pomyślała o wynalazcy światełek odblaskowych umieszczonych pośrodku jezdni, mrugały do niej przez zamgloną szybę. Posuwała się naprzód w żółtym tempie, bojąc się, że przegapi strzałkę do Abbottsbidge. Na szczęście ruch był niewielki. W ten mroźny niedzielny wieczór rozsądni ludzie nie wyściubiali nosa za próg i Lucy żałowała, że nie może, jak oni, siedzieć w domu. Mgła gęstniała. Lucy zacięła zęby i spróbowała potraktować owo zrzędzenie losu filozoficznie. Całą uwagę skupiła na drodze i prawie zapomniiała na rozstaniu z Tomem.

Całus na odchodnym, samotna jazda z powrotem... Nie, nie zdołała się jeszcze do tego przyzwyczaić.

Mrużąc oczy wytężyła wzrok, chcąc coś dojrzeć przez wszechogarniającą mleczną biel. Odetchnęła z ulgą, kiedy nareszcie zamajaczył wyczekiwany znak, wskazujący skręt do Abbotsbridge. Natychmiast poczuła się lepiej.

Radość jednak trwała krótko. Lucy napięła mięśnie, naciskając na hamulec. Tutaj nie było już przyjaznych „kocich oczu” wyznaczających środek jezdni. Żle skręciła. Uświadomiła sobie teraz, że znalazła się na prywatnej drodze, prowadzącej do Abbot's Wood, ostatniego miejsca na ziemi, do którego miałyby ochotę się zbliżyć. Poczowała skurecz w żołądku.

Zamiast jednak wściekać się na siebie z powodu pomyłki, skoncentrowała się na tym, jak bezpiecznie przeprowadzić stary samochód dostawczy między głębokimi rowami, które, jak pamiętała z czasów, kiedy regularnie przemierzała tę trasę na rowerze, znajdowały się po obu stronach. Zacisnęła wargi. Jedyne, choć znikomym pocieszeniem, była myśl, że nikt nie oskarży jej o bezprawne wkroczenie na teren prywatny, a najmniej prawdopodobne wydawało się, że pretensje zgłosi właściciel Abbot's Wood, Jonas Woodbridge. Ten najślawniejszy obywatel miasteczka ostatnio nieodmiennie podróżował albo po rzece Limpopo, albo w górach Hindukuszu, albo jeszcze gdzie indziej. Zbierał materiały do nowych książek i rzadko zaszczycił Abbotsbridge swoją obecnością.

Chwila nieuwagi i samochód zarzuciło na lodzie. Lucy wstrzymała oddech. Jakimś cudem zdołała łagodnie wyhamować, lecz serce waliło jej mocno, kiedy już ostrożniej jechała dalej, zazdroszcząc miesz-

kańcom miast, gdzie nie zdarzała się aż taka mgła. Boże, jak pragnęła znaleźć się w domu!

Mgła przerzedziła się trochę. Lucy minęła bramę rezydencji i, mając ją za plecami, poczuła się już pewniej. Humor jej się poprawił. Jeszcze jakieś dwa kilometry i znajdzie się z powrotem na właściwej drodze. Ledwo o tym pomyślała, kiedy w szybę uderzył tuman śnieżnego pyłu. Odruchowo nacisnęła hamulec. Krzyknęła. Opony skrzyły na lodzie. Samochód wpadł do wypełnionego śniegiem rowu i zarył się pod wariackim kątem w zaspie.

Po chwili Lucy upewniła się, że jest cała i zdrowa. Dziwacznie skręcona w przechylonym fotelu drżącymi palcami usiłowała odpiąć pas. Szczęśliwie jeden reflektor wciąż się palił. Lucy wyczołgała się jakoś z samochodu i zabrawszy swoje rzeczy, wydostała się na górę. Dzwoniąc zębami wyszperała w torebce małą latarkę, którą zawsze ze sobą nosiła. Trudno było oszacować szkody, lecz co do jednego nie miała wątpliwości. Tylko pomoc drogowa zdoła wyciągnąć samochód z rowu. Lucy nie miała wyboru. Dalej musiała iść pieszo.

Po kilku próbach udało się jej wyłączyć reflektor i zamknąć samochód. Z trudem brnęła naprzód. W nikłym świetle latarki wąski tunel między wysokimi zasypanymi śniegiem żywopłotami robił niesamowite wrażenie. Lucy podniosła kołnierz i starała się iść jak najszybciej. Wibrujące płatki śniegu oblepiały jej twarz. Czuła dotyk ducha...

- Dość tego - upomniała siebie na głos, myśląc jednocześnie, że przynajmniej będzie miała o czym napisać Tomowi w najbliższym liście.

Kiedy dotarła do drogi do Abbotsbridge, ogarnęła

ją euforia. Do przejścia zostało jeszcze około dwóch kilometrów. Przyspieszyła kroku. Pół godziny później skręcała już w alejkę, prowadzącą do Holy Lodge. Kolana się pod nią ugięły z radości. Nareszcie w domu! Biała obdrapana furtka stała jak zwykle otworem, a za nią majaczyła we mgle, szydząc z niej jak strach na wróble, znieprawiona tablica z napisem: Na sprzedaż.

Lucy podeszła do drzwi frontowych i zmarszczyła brwi. Dziwne. Dom pogrążony był w ciemnościach, a przecież była absolutnie pewna, że wyjeżdżając zostawiła zapalone światło. Tom jej jeszcze o tym przypomniał. Świecąc sobie latarką, ostrożnie otworzyła drzwi. Co prawda żaden łotr jej nie zaatakował, ale zewsząd otaczała ją ciemność i słychać było złowieszcze kapanie.

Pełna złych przeczucí przekręciła kontakt w sieni. Nic. W świetle latarki zobaczyła z przerażeniem kałuże na dywanie w holu i strugi wody lejącej się z sufitu. Nagle podskoczyła, słysząc łomot na piętrze. Pomknęła na górę. Płaty tynku zaścielały podłogę. Obiegła pokoje. Stwierdziła, że, na szczęście, straty były tylko w holu i na podeście schodów. Latarka zaczęła mrugać i Lucy rzuciła się na dół do szafy w korytarzu po drugą, dużą, którą trzymała tam na wypadek odcięcia prądu. Potem poszła do kuchni. Szukając w szufladach świec, podstawek, zapalek przeklinała w myślach śnieżycę. Na obrazkach taka niewinna, w rzeczywistości straszna.- wypadki, popękane rury. Dlaczego? I dlaczego los wziął się akurat na nią?

Pozapalała wszystkie świece, jakie udało się jej wyszperać, i spróbowała się uspokoić, zdecydować, co robić. Wyłączyła korki w sieni. To tak jak zamykać

stajnię, kiedy już koń uciekł, powiedziała do siebie. Następnie telefony: hydraulik, elektryk. Ku jej konsternacji słuchawkę podnosiły żony, które, współczując jej bardzo, informowały, że ich mężowie udali się już do podobnych wypadków i tak było przez cały dzień. Zapewniały, że dopiszą nazwisko Drummond do listy wezwań.

Lucy brodziła wśród tynku i gruzu na górnym podeście schodów. Była tak przygnębiona, że nawet nie miała ochoty napić się filiżanki herbaty dla poprawienia samopoczucia. I prawie w tej samej chwili, kiedy o tym pomyślała, rozległ się trzask i łomot i coś spadło jej na głowę. Z okrzykiem przerażenia osunęła się na podłogę. Za dużo tego dobrego. Płacz jednak uwiąził jej w gardle.

Zamarła. Jakieś odgłosy na dole. No tak. W panice zapomniała zamknąć drzwi frontowe. Ktoś wszedł do domu. Ogarnięta strachem zgasiła ciężką latarkę w gumowej osłonie i bezszelestnie wstała. Na schodach zabrzmiały kroki i w tym samym momencie, kiedy Lucy usłyszała swoje imię, odwróciła się gwałtownie i zamierzyła latarką. Zderzając się z intruzem, krzyknęła przeraźliwie, niezdolna już teraz do racjonalnego myślenia. Była przekonana, że to napad.

Wśród przekleństw jakieś ręce schwyliły ją mocno. Lucy walczyła zażarcie.

- Na miłość boską, Lucy, uspokój się. Omal mnie nie ogłuszyłaś - dyszał męski głos.

Rozpoznała ów głos i zastygła w bezruchu. Samo jego brzmienie podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. Mężczyzna potrząsnął nią delikatnie i spytał:

- Nic ci się nie stało? Ktoś się tu włamał? Nic ci nie jest? Lucy, odpowiedz!

Przybysz postawił ją na ziemi, zaświecił w twarz latarką. Zmrużyła oczy jak kret wydobyty z nory, oślepiiony blaskiem.

- W porządku - wychrypiała. Drżała.

Mężczyzna jeszcze raz zaklął i dotknął jej czoła.

- Jesteś ranna - stwierdził. - Możesz iść?

- Oczywiście - odpowiedziała poirytowana. Wsparta na jego ramieniu z trudem zeszła na dół. Wciąż drżała, przemarznięta do szpiku kości.

- Co ty tu robisz, Joss? - spytała beznamiętnie, zbyt otępiała, żeby się teraz czemukolwiek dziwić.

Jonas Woodbridge przyglądał się jej w migotliwym blasku świec porozstawianych w kuchni.

- Drzwi były otwarte. Zawołałem, ale jedyną odpowiedzią był cios tą cholerną latarką. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla ciebie jestem *persona non grata*, niemniej zaniepokoiłem się, kiedy zobaczyłem twój samochód w rowie.

- Przepraszam, że zatarasowałam twoją prywatną drogę.

- Nie potłukłaś się, kiedy samochód zarzuciło?

- Nie, nie. Dalej poszłam już piechotą.

- To skąd to skaleczenie na czole?

- Właśnie spadł mi na głowę kawałek sufitu.

- Widzę, że solidnie popękały tu u ciebie rury - powiedział rozglądając się dokoła.

Milcząco przytaknęła. Jonas Woodbridge wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Gdzie Tom? - spytał w końcu.

- Odwiozłam go dziś po południu do szkoły. Właśnie stamtąd wracałam, kiedy wpakowałam się do rowu.

Jonas patrzył na Lucy zaintrygowany i pocierał policzek.

- Jechałaś do mnie?

- Do ciebie? - Jej oczy były bez wyrazu. - Na Boga, nie!

Twarz Jonasa stężała.

- Co w takim razie robiłaś na mojej prywatnej drodze?

- Mgła. Źle skręciłam.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza i Lucy pragnęła, żeby jej gość się wyniósł. Dużo czasu minęło, odkąd widziała go ostatni raz i jeszcze więcej od ich ostatniej rozmowy. Słabe, migotliwe płomyki groteskowo zniekształcały twarz Jossa, a przecież znała jego rysy jak swoje własne. Nie potrzebowała wcale światła, żeby stwierdzić, że był tak samo wysoki i przystojny, jak zawsze, bez grama zbędnego tłuszczu na szerokich umięśnionych ramionach. I wciąż był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Ma twarz upadłego anioła, trafnie określił kiedyś jej ojciec. Zawsze istniała subtelna różnica pomiędzy Jossem a jego młodszym bratem, nieodłącznym towarzyszem Lucy z jej dziewczęcych lat. Simon był równie przystojny, lecz promienny, wesoły. Był ulubieńcem wszystkich, w tym Jossa. Zwłaszcza Jossa.

- Pytałem - powiedział Joss zniecierpliwionym głosem - czy dzwoniłaś po hydraulika.

Lucy oprzytomniała.

- Och tak. I po elektryka. Ale pech chciał, że pojechali już gdzie indziej.

- Zaraz z rana polecę Tedowi Carterowi się tym zająć.

Lucy nie mogła ścierpieć pomocy od Jossa Wood-bridge'a, nawet pośrednio w osobie Teda Cartera, bardzo miłego zarządcy Abbot,s Wood.



- Nie rób sobie, proszę, kłopotu - podziękowała sucho. - W odpowiednim czasie sama zajmę się remontem.

Joss ujął ją za ramiona charakterystycznym dla niego szybkim zdecydowanym ruchem.

- A do tego czasu jak sobie poradzisz bez światła, ogrzewania, bez wody? - Zajrzał jej głęboko w oczy i potrząsnął nią. - Wciąż nie chcesz przyjąć ode mnie pomocy? Nawet po tylu latach?

- Nie mogę - odpowiedziała beznamiętnie.

Opuścił ręce i cofnął się.

- Więc wciąż żywisz te same urazy. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to nie fair? Lepiej od innych wiesz, że z rozpaczy po śmierci Simona odchodziłem od zmysłów. Nie pamiętam, co tamtego dnia mówiłem. Przysięgam, że nie chciałem cię zranić.

- Więc niech mnie Bóg strzeże, gdybyś miał kiedykolwiek to zrobić - odrzekła i odwróciła się.

- A teraz lepiej już idź, bo chcę załatwić kilka telefonów. Wiem, gdzie mogę się wprosić na noc, kiedy dom nie nadaje się do spania.

Joss chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami i skierował się ku drzwiom.

- Świetnie. Gdybyś jednak czegoś potrzebowała...

- Nie będę.

Nie od ciebie, dopowiedziała bezgłośnie i z satysfakcją stwierdziła, że jakby odczytał jej myśli.

- Dobranoc, Lucy.

Joss odszedł, nie spojrzawszy już na nią. Została sama z kapiącymi świecami.

Prędko wykręciła numer przyjaciółki, Perdy Roche, która nad rzeką na obrzeżach Abbotsbridge miała małą pracownię ceramiki artystycznej. Ku zdumieniu

Lucy w słuchawce odezwał się tylko nagrany na taśmę słodki głos gospodyni. Znaczyło to, że weekend w towarzystwie nowego adoratora przedłuży się do poniedziałku. Lucy zostało teraz do wyboru albo spędzić noc po ciemku w domu, co jej się wcale nie uśmiechało, albo złapać jakiś samochód do miasta i przespać się na składanym łóżku w mieszkaniu nad sklepem.

- No cóż - stwierdziła na głos - zdecydowanie mi się dzisiaj nie wiedzie.

- Nie było miejsca w gospodzie? - spytał Joss, wyłaniając się z ciemności, czym omal nie przyprawił jej o atak serca.

- Podśluchiwanie to twoje hobby?

- Nie - odparł. - Ale tak dla spokoju sumienia wolałem, zanim pojedę do domu, wiedzieć, że masz gdzie bezpiecznie spędzić noc. Bez złych intencji, przysięgam. Pomyślałem, że poczekam i podrzucę cię, gdzie będziesz chciała.

Lucy miała ochotę odpowiedzieć, że raczej poszłaby boso piechotą, ale schowała dumę do kieszeni.

- W takim razie, ponieważ Perdy Roche nie ma w domu, może podwieziesz mnie do miasta. Przenocuję w sklepie.

- Na szeszelongu w witrynie?

- Nie. - Lucy z trudem panowała nad sobą.

- W mieszkaniu na piętrze.

- To jest urządzone? - Joss uniósł brwi.

- O tyle o ile. Ale elektryczność działa, więc na razie będzie mi tam o niebo lepiej niż tutaj.

Joss szybko kiwnął głową.

- Świetnie. Zaczekam w samochodzie, a ty zbierz swoje rzeczy.

- Dzięki.

Lucy pomknęła na górę. Z latarką w ręku wrzuciła trochę ubrania do torby, potem po namyśle zabrała z kuchni coś do jedzenia i zamknęła dom. Znany dobrze land rover z Abbot's Wood czekał przed furką. Joss stał oparty o samochód. Palił. Kiedy nadeszła, wyrzucił cygaro i wziął od niej torbę. Ze zdawkową uprzejmością pomógł jej wsiąść.

- Jak to się stało, że zauważyłeś mój samochód? To kawałek drogi od twojego domu.

- Wraciałem od Teda Cartera i zobaczyłem samochód w rowie. Oczywiście stanąłem, żeby sprawdzić, czy ktoś w środku nie potrzebuje pomocy. Wtedy dostrzegłem numery i zorientowałem się, że to twój wóz.

- Skąd wiedziałeś, że mój? - dopytywała się zaciekawiona.

- Wiedziałem. - Rzucił jej szybkie spojrzenie.  
- Nietrudno śledzić, co się z tobą dzieje.

Utkwiła wzrok we mgłę za szybą.

- No tak, oczywiście. W Abbotsbridge wszyscy mówią o Lucy Drummond.

- Zawsze jak najlepiej, prawda?

- Absolutnie. Wszyscy są dla mnie zawsze bardzo mili. - Westchnęła. - Czasami aż za. Tęsknię do anonimowości dużego miasta, ale to nie wchodzi w rachubę. Tom kocha to miejsce, a ja mam tutaj pracę, więc zostaję. Na moim nagrobku napiszą kiedyś: „Lucy Drummond, tu się urodziła, tu wyrosła i tu umarła.”

Wiedziała, że Joss musiał zauważyć gorycz w jej głosie, chociaż prowadził nic nie mówiąc. Nagle wykrzyknęła:

- Joss! Przejechałeś. Trzeba było skręcić!

- Tak? - odpowiedział bez zdziwienia. - W takim razie mogę cię równie dobrze zabrać z powrotem do Abbot's Wood.

- Co!?! - Lucy odwróciła się ku niemu oburzona, ale Joss jechał dalej, jak gdyby nic się nie stało.

- Proszę. Wiesz, że nie wypada.

Joss potrząsnął głową,

- Dlaczego? To szczyt głupoty koczować nad sklepem, kiedy tam kilka wolnych sypialni aż prosi, żeby ktoś z nich skorzystał. Jeśli ci chodzi p to, czy wypada, wiedz, że Bensonowie nadal pracują i mieszka u mnie. Twoja reputacja nie ucierpi.

Lucy rozchmurzyła się.

- Tobie może się to wydawać śmieszne, ale dla kogoś... kogoś takiego jak ja, to bardzo istotne.

- Tak. Wiem - przyznał Joss spokojnie. - Niemniej nalegam, żebyś spędziła noc wygodnie i... bezpiecznie.

Lucy umilkła, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że powinna poczuć się urażona jego władczyim zachowaniem. Nagle jednak ogarnęło ją takie zmęczenie, że nie była w stanie dalej się opierać.

- Czy twoje milczenie mogę uważać za zgodę?

- Dobrze. Dzięki. Ale tylko dlatego, że zaskoczyłeś mnie w momencie słabości. Po tym wszystkim, co mnie dzisiaj spotkało, nie mam już siły się kłócić.

- Punkt dla mnie - roześmiał się Joss i pewnie skręcił na podjazd. Wysiadając, Lucy spojrzała na tak dobrze jej kiedyś znany dom. Delikatne żółte światło, ciepłe i zapraszające, sączyło się przez półkoliste okno nad drzwiami. Wróciło zdenerwowanie. Drżała. Joss ujął ją pod rękę i wprowadził do środka.

- Zmarzałaś? - spytał.

To nie z zimna, odpowiedziała w myśli. To wspomnienia.

Zatrzymała się w drzwiach i rozejrzała wokół. Poczuła ucisk w gardle. Wypolerowana posadzka, perskie dywany, schody i portrety na wyłożonej boazerią ścianie. Wszystko wyglądało tak samo, jak dawniej i trudno było uwierzyć, że Simon nie zbiegnie za chwilę z góry, uśmiechając się szeroko. Joss wyczuł jej nastrój. Podszedł, wyciągając do niej rękę, ale nie zareagowała.

- Sprowadzę panią Benson - powiedział cicho i zniknął w głębi domu.

Lucy została sama. Przyjrzała się swojemu ubraniu. Sweter, który miała na sobie był jeszcze całkiem nowy, ale tweedowa spódnica i botki na kozuchu mocno wysłużone. Do tego rozmazany makijaż i włosy w nieładzie. Pakując się po ciemku w Holy Lodge, nie myślała wcale o takich rzeczach. Lecz tu, w tym pięknie urządzonej holi z kamiennym kaminkiem, patrząc na własne odbicie we florenckich lustrach, poczuła się wymięta i przygnębiona.

Z zadumy wyrwało ją nadejście Jossa w towarzystwie pani Benson.

- Lucy! Jak miło cię widzieć! - powitała ją schludna siwowłosa gospodyni z promienną twarzą. - Co za okropna pogoda! Pan Jonas opowiedział mi o twoich domowych kłopotach.

Tak rozmawiając pani Benson zaprowadziła ją do gościnnego pokoju.

- Pan Jonas będzie czekał w gabinecie - powiedziała i zostawiła Lucy samą. Lucy energicznie zajęła się swoim wyglądem. Umyła się, wyszczotkowała ciemne, kręcone włosy i pod wpływem nagłego impulsu umalowała powieki i uróżowała policzki. - Uzbrajamy

się? - spytała swojego odbicia w lustrze. Zeszła na dół i zapukała do drzwi.

Joss zaprosił ją do pokoju, którego nie znała. W dużym kominku trzeszczały polana jabłoni z ogrodu. Grzejąc sobie dłonie, Lucy rozejrzała się fachowym okiem po gabinecie: biurko z epoki króla Jerzego, dalej zavalony książkami i papierami prosty stół z blatem obitym skórą, a na sosnowym biureczku obok, ku jej zaskoczeniu, komputer. Nowoczesny sprzęt zupełnie tu nie pasował.

- Więc to tutaj piszesz swoje książki - powiedziała odwracając się w stronę Jossa i po raz pierwszy patrząc mu prosto w twarz. Odwzajemnił spojrzenie zaciekawiony.

Joss był mocno opalony i Lucy z nagłym wzruszeniem zauważyła jaśniejsze kurze łapki w kąciakach jego oczu. Wygląda zupełnie jak Simon, pomyślała ze smutkiem. Te same gęste ciemne włosy, tylko że teraz, zamiast złotych, były w nich srebrne błyski. Dodawało to powagi twarzy, która dziesięć lat temu postarzała się w ciągu jednej nocy. Kiedyś Joss był nieziemsko pięknym mężczyzną. Teraz wyglądał inaczej. W jego niebieskich oczach dostrzec można było znużenie światowca. Usta nabrały zaciętego wyrazu. Ani jedno, ani drugie zresztą, oceniła trzeźwo, ani na jotę nie zmniejszyło jego męskiego uroku.

Pozwoliła usadzić się blisko kominka, gdzie na niskim stoliku stała taca z przyborami do herbaty i kanapkami.

- Wskutek tego całego zamieszania pewnie nie jadłaś obiadu - zaprosił Joss z uśmiechem. - Pani Benson była przekonana, że umierasz z głodu. Pamiętała, że dawniej byłaś ciągle głodna.

- I miałam odpowiednią tuszę - dodała Lucy kwaśno. - Podziękuj, proszę, pani Benson. Nie-spodziewany gość o tak późnej porze to tylko kłopot.

- Zbyt rzadko się to zdarza, by miała powody do narzekań. - Joss przyjrzał się jej uważnie. - Schudłaś chyba? Dawniej byłaś bardziej zaokrąglona.

- Jest wiele innych rzeczy, które były dawniej, a nie są. Prawda? - Lucy nalała sobie herbaty i zmieniła temat. - Gdzie się ostatnio podziewałaś? Sadząc z wyglądu, chyba w tropikach.

- Na Fidzi.

- A teraz przyjechałaś to wszystko opisać?

- Tak. Posiedzę kilka miesięcy w domu. Później mam już umowę na książkę o Brazylii. Zajmę się badaniem skutków, jakie dewastacja lasów tropikalnych w dorzeczu Amazonki niesie za sobą dla życia jednego z plemion indiańskich. - Joss patrzył niewi-  
dzącym wzrokiem w ogień.

- Widziałam w telewizji twój program. Chyba o Mauritiusie.

- Podobał ci się?

- Bardzo. Ale tego typu audycje działają na mnie deprymująco. Dalekie miejsca, obco brzmiące nazwy wywołują we mnie jakiś niepokój.

Joss odwrócił się ku niej.

- Nigdy nie jeździsz na wakacje?

- Czasami, kiedy mnie na to stać. Ale tylko gdzieś blisko, nie do żadnych z tych egzotycznych miejsc.

- Zmartwiłem się, kiedy dotarła do mnie wiadomość o śmierci twojego ojca - odezwał się Joss po chwili.

- Bardzo go lubiłem. Musi ci być go brak.

- Umarł tak, jak zawsze pragnął. Wrócił z obiadu z dawnymi kolegami z RAF-u, z którymi się od czasu

do czasu spotykał. Położył się... i już się nie obudził. Byliśmy z Tomem zdruzgotani. To przyszło tak nieoczekiwanie. Ojciec nie był przecież wcale taki stary. Miał zaledwie sześćdziesiąt osiem lat i tyle energii.

- To dlatego sprzedajesz dom?

- Częściowo. Są też i inne powody. - Lucy rozejrzała się po pokoju, gorączkowo szukając innego tematu.

- Zdziwiłam się widząc tu komputer - powiedziała.

- Jakoś zawsze wyobrażałam sobie ciebie ze złotym piórem w ręku, siedzącego za stylowym biurkiem, podobnym do tamtego. Oczywiście nigdy nie byłam w tym pokoju. Nie pozwalałeś nam nawet się tu zbliżyć. Zamykałeś drzwi na klucz.

- Przynajmniej pod tym jednym względem postępowałem słusznie. W innych sprawach nie zachowałem się mądrze, ani w stosunku do Simona, ani w stosunku do ciebie. Zgodzisz się ze mną, prawda, Lucy?

Ich spojrzenia spotkały się i w jednej chwili atmosfera w pokoju uległa zmianie. Lucy jak zahipnotyzowana nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Zarumieniła się, natychmiast jednak owładnięta wspomnieniami raptownie zbladła. Z wyrazu jego twarzy odczytała, że Joss myśli o tym samym, o tamtym dniu, w innym czasie, w innym życiu, kiedy nagle, zupełnie nie spodziewanie, znaleźli się sam na sam w tym właśnie domu. Tylko, że wówczas było upalne duszne lato, a ona młoda i beznadziejnie, beznadziejnie zakochana... Nagle Joss poderwał się i uklęknął przed nią. Ujął jej ręce i pochylając się wyszeptał:

- Lucy...

Czar prysł i Lucy wyrwała ręce z uścisku, odsunęła się i spojrzała w bok. Joss szybko się podniósł i wrócił



na swoje miejsce. Zaciskała dłonie, chcąc opanować ich drżenie. Przeklinała sama siebie w duchu za to, że przysłała do tego domu, w którym kiedyś zaznała tyle bólu. I szczęścia, poprawiła się gwoli sprawiedliwości. Milczenie przedłużało się, podniecenie jednak minęło. Lucy odważyła się podnieść wzrok na Jossa. Spod półprzymkniętych powiek przyglądał się ogniu na kominku. Na jego twarzy malowała się gorycz i ku własnemu zaskoczeniu Lucy poczuła, że ogarnia ją fala współczucia. Rozpaczliwie szukając jakiegoś neutralnego tematu, odezwała się:

- Nudno zimą w Abbotsbridge, prawda?

Musiała przyznać, że zabrzmiało to idiotycznie i kiedy Joss posłał jej ironiczne spojrzenie, zaczerwieniła się.

- Słuszna uwaga. Poza tym pogoda jest wyjątkowo zła jak na tę porę roku, nie uważasz? Nie pamiętam takiej zadymki w marcu. - Jego usta wykrzywił niewesoły uśmiech. - Jak to dobrze, że w kłopotliwych momentach my Anglicy zawsze jeszcze możemy porozmawiać o pogodzie.

- Może dlatego mieszkańcy cieplejszych krajów, gdzie klimat jest bardziej ustabilizowany, mają żywszy temperament? - zażartowała Lucy. - Kaprysy pogody nie mogą służyć im za wentyl.

Z zadowoleniem spostrzegła, że twarz Joss złagodniała, wciąż jednak przyglądał się jej z namysłem.

- O co chodzi? - spytała. - Czyżbym się aż tak zmieniła?

- Zmieniłaś się, ale nie o tym myślałem. - Zastanawiał się. - Nie chciałbym wkraczać w twoje prywatne sprawy, ale powiedz, czy w związku ze śmiercią ojca nie znalazłaś się w kłopotach finansowych?

- Nigdy nie obracałam dużymi sumami, więc nie odczuwam zbytnej różnicy.

- To interes nie idzie za dobrze?

- Nie mogę narzekać, chociaż... - Lucy przerwała, znowu się rumieniąc. - Ale naprawdę nie chciałam zanudzać cię swoimi problemami. Kiedy wróciłeś? - spytała starając się skierować rozmowę na inne tory.

- Wczoraj. Miałem nawet nadzieję, że zobaczę Toma przed jego odjazdem.

- Jeśli zostaniesz trochę dłużej, spotkasz się z nim następnym razem - odparła, kręcąc się nerwowo w fotelu.

Joss wstał. Rozprostował ramiona. W dużym swetrze i luźnych sztruksowych spodniach wyglądał niemal na olbrzyma.

- Masz rację - odezwał się dokładając polana do kominka. - Po pobycie w tropikach doskwiera mi teraz zimno. W twoim domu można było zamarznąć. Ale się porobiło, nie ma co.

Nawet gorzej, niż ci się wydaje. Chyba tylko złota rybka pomogłaby mi rozwiązać wszystkie moje kłopoty, pomyślała Lucy, wpatrując się w ogień. Nagle usłyszała, że Joss coś do niej mówi. Podniosła wzrok.

- Napijesz się? - powtórzył. - Łyk czegoś mocniejszego dobrze ci zrobi.

Nie mylił się. Potrzebowała dodać sobie odwagi, chociażby tylko drinka dla kurażu.

- Szkocką z wodą - poprosiła bez namysłu.

- Bardzo męski gust - skomentował gospodarz, odsłaniając białe zęby w uśmiechu.

- Ojciec trzymał w domu wyłącznie whisky, więc od czasu do czasu wypijałam z nim szklaneczkę dla

towarzystwa i nie tylko. Musiałam pilnować, żeby się nie rozpędził. Przez ostatni rok, a może nawet dłużej, miał kłopoty z ciśnieniem.

Dziękując przyjęła podaną jej szklankę i ku wyraźnemu rozbawieniu Jossa jednym haustem opróżniła połowę. Czuła, jak miłe ciepło przenika jej ciało. Nagle uderzyła ją absurdalność całej tej sytuacji. Znalazła się w domu, do którego przysięgła nigdy więcej nie wchodzić, w towarzystwie mężczyzny, z którym ślubowała nigdy w życiu nie rozmawiać. I oto siedzą przy kominku niczym starzy kumple, jakby się spotykali co wieczór. Uśmiechnęła się do siebie.

- Naprawdę się uśmiechasz, Lucy? Zaczynałem już podejrzewać, że zapomniałaś, jak się to robi.

- Właśnie uświadomiłam sobie, jakie... jakie to dziwne.

- Siadać do stołu z wrogiem? - Przyglądał się jej spod zmrużonych powiek. - Chyba zbyt późno sobie przypomniałaś, że Belzebuba trzeba trzymać od siebie na długość kija.

Lucy zaśmiała się.

- Nie siedzimy przy stole.

- Słusznie. W takim razie zapraszam cię jutro na obiad.

- To chyba nie będzie rozsądne - powiedziała poważnie.

- A co rozsądek ma z tym wspólnego? Dziś wieczór, dzięki tej strasznej pogodzie, los dał mi jeszcze jedną szansę, żebym ci ofiarował gałązkę oliwną.

- Chciałabym móc ufać, że tę gałązkę oliwną ofiarowujesz w dobrej wierze i że wyciągasz rękę do mnie - odparła, nie spuszczać oczu z twarzy Jossa.

- Ale jeśli jesteś ze mną szczery, przyznasz, że bardziej ci chodzi o Toma.

- Nie zaprzeczę - Joss potrząsnął głową i dokończył drinka - że chciałbym widywać się z nim znacznie częściej.

- Dlaczego?

- Bo bardzo go lubię. Jak wszyscy, prawda? Ale ty zawsze dokładałaś wszelkich starań, żeby go trzymać ode mnie z daleka. - Twarz Jossa przybrała zacięty wyraz. - Tylko od wielkiego święta pozwalałaś mi spędzać z nim godzinę czy dwie.

- To ty nie życzyłeś sobie żadnych kontaktów. - Spojrzenie Lucy stało się lodowate. - Kiedy się dowiedziałeś, że jestem w ciąży, dałeś mi jasno do zrozumienia, że mam nie nazywać Simona ojcem mojego dziecka. I nigdy tego nie robiłam. Nigdy. Jedenaście lat temu nie chciałeś być wujem Toma. Czy naprawdę oczekujesz, że się wzruszę, bo z czasem zmieniłeś zdanie? - Umilkła, a po chwili dodała: - Zachowałeś się wówczas podle, powiedziałeś mi rzeczy, których nie da się zapomnieć.

Krew odpłynęła z twarzy Jossa, a oczy nabrały takiego wyrazu, że w sercu Lucy, wbrew niej samej, zadrżała jakaś ukryta struna.

- Traciłem zmysły z rozpaczy - powiedział. - Caroline ulotniła się ze swoim Argentyńczykiem zaledwie kilka dni przed śmiercią Simona. Tego straszego popołudnia, kiedy zadzwoniłaś z lotniska, wciąż cierpiałem, z powodu urażonej dumy.

- Tamto stało się trzy tygodnie wcześniej.

- Trzy tygodnie? O czym ty mówisz?

- Simon zabił się trzy tygodnie po tym, jak Caroline od ciebie odeszła.

- Pamiętajsz wszystko aż tak dokładnie?
- Tak. Nie cierpiełeś w milczeniu. Zmieniłeś się w pijanego potwora. Takich rzeczy się nie zapomina.
- Naprawdę? - Joss wstał i podszedł do barku.
- Napijesz się jeszcze?  
Lucy już miała odmówić, ale zmieniła zdanie i wyciągnęła pustą szklanę.
- Nie moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia?
- zaczął Joss. - Teraz, kiedy umarł twój ojciec, Tomowi będzie brakowało męskiego towarzystwa w domu. Proszę o godzinę czy dwie od czasu do czasu. To też dużo?
- Dlaczego się nie ożenisz? Miałbyś własnego syna. Ku jej zaskoczeniu twarz Jossa pociemniała.
- Mam swoje powody - odparł - które ciebie napewno nie zainteresują.  
Lucy spojrzała na niego urażona, ale Joss nie odwrócił wzroku.
- I jak? Pozwolisz mi częściej widywać się z Tomem czy nie?  
Lucy długo przyglądała się swoim paznokciom. Była w głębokiej rozterce.
- Jeśli Tom zechce - odezwała się w końcu - nie zabronię mu cię odwiedzać. Ale to będzie zależało od niego.
- Naprawdę? - Joss podbiegł do niej i chwycił w ramiona. Wpatrywał się w nią w napięciu.  
Skinęła głową. Joss bardzo powoli pochylił się i pocałował ją w czoło.
- Dzięki. To tak wiele dla mnie znaczy. Jakby Simon był tu znowu ze mną.
- Kiedyś twierdziłeś coś zupełnie innego. - Wiedziała, że to co mówi, jest podłe, ale zbyt głęboko ją

wtedy zranił, by tak łatwo zapomniała o bólu. - Gdyby któregoś dnia mój ojciec nie przyszedł z Tomem łowić gdzieś tu w pobliżu ryby, prawdopodobnie nigdy byś go nie poznał.

- Wystarczyło mi jedno spojrzenie. Czy uwierzysz, że ja po prostu lubię Toma? Nawet gdyby nie był synem Simona, czułbym dokładnie to samo.

- Wcale nie jest aż tak podobny do Simona - zaprzeczyła. - Wygląda jak tatuś... i jak ja.

- Z wyjątkiem oczu. - Joss odwrócił się ku niej. - Czy naprawdę nie jesteś w stanie mi wybaczyć?

Przyglądała się mu w milczeniu.

- Wiele ode mnie żadasz. Zgodziłam się na Toma. Dlaczego tak ci zależy na moim przebaczeniu?

- Przyznam się, że do dziś tak mi nie zależało. To wszystko dawne dzieje. Ale kiedy zobaczyłem twój samochód w rowie, poczułem się, jakbym otrzymał cios w żołądek.

- Myślałeś, że jechałam z Tomem?

- Nie. To mi nie przyszło do głowy. Bałem się, że tobie się coś stało i gnałem do Holy Lodge na złamanie karku... gdzie zresztą omal mnie to nie spotkało.

- Wzięłam cię ze złodzieja. No i chwilę przedtem spadł mi na głowę kawałek sufitu. W takiej sytuacji nikt nie myślałby racjonalnie. A więc ogarnęły cię nagle wyrzuty sumienia i przyjechałeś odegrać rolę miłosiernego Samarytaniana... Dzięki - dokończyła z sarkazmem. - Teraz jednak udam się chyba to tej miłej sypialni, którą pani Benson dla mnie przygotowała. Jutro poniedziałek. Nie lubię poniedziałków. A jutro, po tym wszystkim, co zastałam w domu, będzie gorzej niż zwykle.

- Zostaw mi klucze. Sprowadzę hydraulika i elektryka.

- Nie chciałabym obarczać cię swoimi kłopotami - sumitowała się.

- W tej sytuacji, to minimum, jakie mogę zrobić. Przecież przyda ci się pomoc.

- Nie przeczę! - Lucy uśmiechnęła się kwaśno i wyjęła klucze z torebki. - Proszę. A teraz dobranoc... i jeszcze raz dzięki.

Joss uparł się, że ją odprowadzi na górę do pokoju i Lucy poczuła się nieswojo, kiedy zapalając światło w gościnnej sypialni spytał, czy ma wszystko, czego potrzebuje.

- Wszystko - zapewniła go. - Pani Benson już wcześniej włączyła koc elektryczny, więc czego może mi brakować?

- W takim razie życzę ci dobrej nocy - zawahał się, potem pochylił i pocałował ją w usta.

Luck odskoczyła, jakby ją uderzył.

- *Droit du seigneur?* - spytała z błyszczącymi oczami.

- To na osłodę - twarz mu pociemniała. - I pozwolisz, że dla porządku sprostuję. Nie spełniasz warunków, Lucy. O ile dobrze pamiętam, kiedy feudał egzekwował prawo pierwszej nocy, panna młoda miała być dziewicą.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Lucy spędziła koszmarną noc i nie ma w tym stwierdzeniu najmniejszej przesady. Zapieczęta nienawiść do Jonasa już zaczynała tajać, lecz jego riposta na odchodnym ostudziła przychylnie uczucia. Rozbierała się w nastroju, który odpędził sen. Poza tym w sypialni było zbyt gorąco, kołdra była zbyt ciężka i Lucy, przyzwyczajona do bardziej spartańskich warunków w Holy Lodge, długo leżała nie śpiąc. Powoli jednak wściekłość na Jossa minęła i myśli jej zaczęły krążyć wokół Simona, potem ojca, i, oczywiście, Toma.

Dziesięcioletni syn Lucy był normalnym żywym chłopcem. Po ojcu odziedziczył oczy, po matce ciemne kręcone włosy. Uwielbiał komputery, grę w krykieta i uczęszczał do tej samej szkoły, której absolwentem był jego niedawno zmarły dziadek, Thomas „Buldog” Drummond. Dopiero teraz Lucy zaczęła naprawdę odczuwać, co to znaczy być samotną matką. Jeszcze kilka tygodni temu miała zawsze wsparcie ze strony ojca, który nigdy nie pozwalał jej się nad sobą roztkliwiać. Wystarczyło, że mieszkańcy Abbotsbrige jej współczuli i to nie dlatego, że w wieku siedemnastu lat zaszła w ciążę, ale ponieważ Simon Woodbridge, jedyny chłopak, z którym się kiedykolwiek spotykała, umarł, zanim zdążył się z nią ożenić.

W całej tej tragedii był też i jasny punkt. Kiedy Lucy skończyła czternaście lat, zaczęła pracować



w weekendy u panny Cassandry Page, właścicielki jedyne go w Abbotsbridge sklepu z antykami. To właśnie owej starzejącej się, ekscentrycznej damie wychowywana bez matki dziewczyna jako pierwszej powierzyła swój sekret. Cassie natychmiast wzięła ją do siebie na etat (wraz z niemowlęciem, kiedy przyszło na świat) i nawet zaproponowała, że sama powie o wszystkim „Buldogowi”. Ojciec Lucy nie na darmo jednak był pilotem i bohaterem wojennym. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby postąpić inaczej, niż otoczyć zbolełe dziecko opieką i natychmiast obwieścić nowinę całemu światu.

Tylko Jonas Woodbridge odmówił współczucia i wsparcia. Szalał wprost z rozpaczy po śmierci Simona i dziko nienawidził Lucy. Powiedział jej bez ogródek, że nie ma co rościć sobie jakichkolwiek praw. Nie ma żadnych dowodów ojcostwa, oświadczył brutalnie i napadł na Lucy w sposób, który zupełnie ją załamał. Znienawidziła go na wieki. Jonas wkrótce oprzytomniał i wielokrotnie przychodził do Holy Lodge, lecz Lucy pozostawała niewzruszona. Nie chciała go widzieć i kazała ojcu odprawiać Jossa z kwitkiem. Uważała, że pod wieloma względami los łagodniej się z nim obszedł. Skończył antropologię, odziedziczył znaczny majątek, mógł pracą leczyć ból i wyjechać tak daleko od Abbotsbridge, jak tylko chciał. Ona natomiast musiała zostać na miejscu i grać takimi kartami, jakie życie jej przydzieliło. A teraz Joss zapragnął Toma.

Czy Tom coś traci, wychowując się bez mężczyzny? W szkole i internacie ma przecież mnóstwo kolegów. Dzięki Bogu, dziadek zabezpieczył środki na wykształcenie wnuka do momentu, aż chłopiec skończy osiemnaście lat. Do tego czasu może uda jej się

odkryć gdzieś na czyimś strychu zapomniany pejzaż Turnera i zbić majątek. Musi znaleźć pieniądze na studia dla Toma. W sklepie tylko towar był jej własnością, lokal wynajmowała. Lada dzień trzeba będzie zapłacić czynsz, uświadomiła sobie z przerażeniem. Dobrze, że Joss nie ma pojęcia, jak zła jest jej sytuacja i jak nudne i przykładne życie prowadzi. Westchnęła. Skończyła dwadzieścia osiem lat, ale oprócz Toma jedynym mężczyzną, z jakim miała do czynienia, był ojciec. I może dlatego, mimo balastu przeszłości, wieczór spędzony z Jossem wydał się jej tak miły. Szkoda, że Joss wszystko zepsuł tym pocałunkiem.

Rozwścieczył ją nie sam pocałunek, co zawarta w nim intencja. Musiała uczciwie przyznać się przed sobą, że doznała wstrząsu. Głupia! Łudziła się, że legendarny urok Jossa już na nią nie działa, a okazało się wręcz przeciwnie. Jako siedemnastolatka wielbiła ziemię, po której stapał. Drżała, jeśli jej tylko dotknął. A teraz z przerażeniem stwierdziła, że bez względu na to, jak silnie jej umysł się buntuje, zdradzieckie ciało nie słuca. Hormony, skwitowała, nic więcej.

Rano włożyła przywiezione z domu spodnie narciarskie i gruby sweter. Włosy zaczesła do tyłu i zawiązała czarną wstążką. Chociaż miała sińce pod oczami, nie umalowała się. Joss musi mnie brać taką, jaka jestem. Gdy zeszła na śniadanie, czytał gazetę. Lucy zauważyła, że też miał podkrążone oczy, ale, stwierdziła ze złością, było mu z tym do twarzy. W białym swetrze i starych dżinsach wyglądał oszałamiająco.

- Dzień dobry - powitał ją, odsuwając dla niej krzesło. - Zmęczona? Łóżko było niewygodne?

- Nawet za wygodne. Przywykłam do bardziej spartańskich warunków. Nie, dziękuję - odmówiła zjedzenia jajek na bekonie. - Dla mnie tylko grzanka.

- Powinnaś zaczynać dzień od solidnego śniadania. Ciężko pracujesz, więc jak twój organizm ma działać, jeśli mu nie dostarczysz paliwa?

- Odżywiam się zupełnie przyzwoicie. - Nalała im obojgu kawy. - Tom lubi gotowane śniadania, ale ja tak wcześnie nie mam apetytu.

- O której otwierasz sklep?

- W poniedziałki jestem sama. Nie ma dużego ruchu, więc zaczynam około wpół do dziesiątej. O tej porze roku jest mało turystów i mało kupujących. Korzystam więc z okazji, żeby odkurzyć i posprzątać. Jestem ostatnio trochę przygnębiona, cieszę się więc, że mogę się czymś zająć. - Spostrzegła, że Joss się w nią wpatruje i przerwała.

- Wyglądasz strasznie. Nie spałaś?

- Tylko trochę.

- Martwisz się o dom?

- Nie szczęści mi się ze sprzedażą. Niewielu jest amatorów kupna starego wiktoriańskiego domu bez centralnego ogrzewania. Jeśli się tacy zjawia, dają grosze. A teraz, po wczorajszej katastrofie, sytuacja jest beznadziejna.

- Gdzie zamieszkaś? - spytał smarując grzankę.

- Nad sklepem. Ze względów praktycznych. Czynyś i tak obejmuje i tamte pomieszczenia, a obecnie mam na górze magazyn. - Lucy unikała wzroku Jossa.

- Co na to Tom?

- Wytłumaczyłam mu, jaka jest sytuacja i zrozumiał, że nie mamy innego wyboru. - Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej podczas ferii będę go miała na oku.

- Zamkniętego w dwóch pokojach nad sklepem! Żadna frajda dla dzieciaka w jego wieku.

Ani dla jego matki, pomyślała Lucy, lecz się nie odezwała. Nie jego interes, nawet jeśli przygarnął ją na dziesiątą noc.

- Uważasz, że się wtrącam?

- Skoro sam to zauważyłeś, nie zaprzeczę.

- Mam prawo okazać zainteresowanie twoimi kłopotami, nieprawda, Lucy? - Spojrzał jej znacząco w oczy.

- Nie. - Zmierzyła go lodowatym wzrokiem. Chcąc się czymś zająć, nalała sobie jeszcze kawy. Z zadowoleniem stwierdziła, że ręka jej nie zadrżała, kiedy podnosiła ciężki srebrny dzbanek.

- Kiedyś byłeś innego zdania - powiedział Joss cicho.

- Wówczas byłem bardzo młoda. I bardzo głupia. Teraz jestem o wiele starsza i, mam nadzieję, trochę mądrzejsza niż byłem, kiedy... - zamilkła, widząc wyraz jego twarzy.

- Kiedy, mimo twojego tak młodego wieku, ulegliśmy wzajemnej fascynacji? - Jego głos stał się głębszy i bardziej gardłowy, Lucy zaś znieruchomiała. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- To nie jest temat do rozmowy przy śniadaniu - ucięła, z wysiłkiem odwracając wzrok. - I gdybyś miał jeszcze odrobinę przyzwoitości, nie wspominałbyś o tamtym epizodzie. Stare dzieje i lepiej do tego nie wracać.

- Który epizod masz na myśli? - spytał Joss z nutą sarkazmu w głosie. - Mówisz o tych wszystkich okazjach, kiedy nie mogłem się powstrzymać od otoczenia cię ramieniem albo posadzenia sobie na

kolanach? Czy o tej chwili, kiedy w końcu oboje daliśmy się porwać namiętności i bezgranicznemu poczuciu winy? Bo czuliśmy się wobec siebie winni, prawda? Ty należałaś do Simona, ja do Caroline. A nawet, gdybym był wolny, to przecież nie kradnie się bratu dziewczyny, nie?

- Nie ukradłeś mnie...

- Nie. Ale uwiodłem. - Joss umilkł. Lucy, nie spuszczać zeń wzroku, poderwała się z krzesła. Zatrzymał ją ruchem ręki. - Usiądź jeszcze na chwilę, Lucy. Skoro już poruszyliśmy ten drażliwy temat, chciałbym cię zapytać o jedno. Czy zaprzeczysz, że chociaż byłaś tak młoda, pragnęłaś mnie tak samo jak ja ciebie?

Lucy wpatrywała się w niego przez chwilę w milczeniu. Tak samo? Tobą powodowała żądza, mną głęboka miłość. Byłeś moim bożyszczem. Szkoda, że z takim hukiem spadłeś z piedestału.

- Nie zaprzeczę - odparła. - Durzyłam się w tobie jak pensjonarka. Późniejsze wydarzenia dość skutecznie mnie z tego wyleczyły.

- Wiem. Zmęczyłem się w końcu wydeptywaniem ścieżki do twoich drzwi, które zatraskiwały mi się przed nosem.

- Nie spodziewałaś się chyba innego przyjęcia?

- Powiedzmy, że wciąż miałem nadzieję. Bardzo chciałem ci coś wyznać, ale ty zabroniłaś ojcu wpuszczać mnie choćby za próg. Otrzymałem godną zapłatę. Mniejsza z tym. Masz rację, to stare dzieje.

- Słusznie. Zapomnijmy o tym. - Lucy wstała. - Czas na mnie, więc jeśli mógłbyś mnie podwieźć...

Joss poderwał się automatycznie, zaraz jednak z powrotem usiadł.

- Dobrze. Ale chciałbym, wpieryw skończyć kawę.

- Oczywiście. Pójdę na górę sprawdzić, czy niczego nie zostawiłam - potrzebna jej była wymówka, żeby choć na chwilę uwolnić się od towarzystwa Jossa. Kiedy wróciła, czekał na nią.

- Gotowa? - spytał. - Spójrz, znowu pada.

- Boże! Może powinnam wstąpić do domu sprawdzić, co jeszcze zostało uszkodzone?

- Nie trzeba. Rozmawiałem już z Tedem. Wyśle tam kogoś. I wezwie mechanika, żeby wyciągnął twój samochód. Radzę ci domagać się zwrotu kosztów z ubezpieczenia.

To był kolejny cios. Wymamrotała, coś niewyraźnie i przez resztę drogi do Abbotsbridge milczała. Kiedy zatrzymali się przed sklepem, Joss pomógł jej wysiąść. Nawet nie zauważyła, że przechodnie przyglądają się im ciekawie.

- Wejdem rzucić okiem na rury - powiedział Joss.

- Boże! Nie pomyślałam... - Lucy zbladła. Przebiegła przez sklep i przeskakując go dwa stopnie na raz pomknęła na górę. Wszystko w porządku. Nogi się pod nią ugięły.

- Nic się nie stało? - zawołał Joss z dołu.

- Na szczęście nic - odpowiedziała schodząc.

- Gdyby się okazało, że woda zalała mój cenny towar, dostałabym chyba ataku hysterii.

- Poczta. - Joss podał jej plik listów. - Skoro wszystko w porządku, uciekam.

- Joss... - Zawahała się. Czuła się niezręcznie.

- Bardzo mi pomogłeś. Dziękuję za gościnę. - Oczywiście się spotkały i, widząc w nich rozbawienie, Lucy zarumieniła się.

- Nie lubisz być mi wdzięczna. - Delikatnie pogładził ją po policzku. - Nie przepracuj się. Ciao.

- Ciao - powtórzyła jak echo.

Z westchnieniem poszła do swojego biura i nastawiła wodę na kawę. Zaczęła przeglądać korespondencję. Wśród broszur i druków reklamowych znalazła rachunek za elektryczność i nowy czynsz. Wytrzeszczyła oczy. Pięćdziesiąt procent więcej, niż płaciła dotychczas! Spodziewała się podwyżki, ale nie aż takiej. Dałaby sobie radę pod warunkiem, że sprzeda dom. Do tej pory jednak nie pojawił się żaden poważny kupiec, a na dodatek teraz musi jeszcze zrobić remont. Skąd wziąć na to wszystko pieniądze? Jedną pożyczkę z banku już zaciągnęła. O czesne za szkołę Toma nie musiała się martwić, ale chłopiec potrzebował ubrania i wielu innych rzeczy. W handlu antykami był akurat martwy sezon. Nie spodziewała się, że nagle zjawi się amator wiktoriańskiego kredensu, czy kompletu krzesel z epoki Wilhelma Czwartego.

Co robić, zastanawiała się zrozpaczona. Jedyne cenne przedmioty, jakie posiadała, były tu w sklepie. Jeśli je sprzeda na aukcji, jak będzie później zarabiał na życie? Obojętnie zabrała się do cotygodniowych porządków, wciąż myśląc o tym, jak znaleźć wyjście z tej sytuacji. Odkurzała i polerowała meble, dla lepszego efektu wysunęła wykładane jedwabiem szufladki francuskiej sekretery z drzewa różanego, pogładziła grzywę konia na biegunach.

- Miło, że chociaż ty, Pegazie, wyglądasz na wesołego - powiedziała, patrząc w jego szelmowskie oczy i dalej wycierała niezliczone bibeloty.

Tego przedpołudnia miała dwie klientki, starszą panią i młodą kobietę. Pierwsza kupiła śliczną porcelanową mydelniczkę, druga żardinierę, też porcelanową. Lepszy rydz niż nic, pocieszała się Lucy,

która nie spodziewała się, że cokolwiek dziś sprzeda. Śnieg przestał padać, ale wciąż było zimno i mało ludzi chodziło po ulicach. W porze lunchu Lucy przyniosła sobie z piekarni bułkę z serem, usiadła przy biurku i zajęła się przeglądaniem ksiąg rachunkowych. Nic jednak nie wymyśliła. Musi skądś zdobyć pieniądze i to szybko. Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Lucy? Bardzo jesteś zajęta? - zdziwiona rozpoznała głos Jossa.

- Nie. O co chodzi?

- Światło już masz, ale hydraulik chyba dziś nie skończy.

- Tak mi przykro. - Lucy poczuła wyrzuty sumienia. Zupełnie zapomniała o awarii w domu. - Naprawdę nie powinieneś zawracać sobie tym głowy.

- Nie bądź głupia - skwitował. - Zabrali twój samochód. Stan Porter zadzwoni jutro do ciebie i obwieści wyrok. Powinieneś cię jednak ostrzec, że nie wygląda to zbyt dobrze.

- Wiem. - Nie zdziwiła się wcale. - Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś.

- O której zamykasz?

- Koło piątej.

- Dobrze. Przyjadę po ciebie.

- Nie trzeba. Przespaceruję się.

- Pleciesz. Do zobaczenia o piątej. - Odwiesił słuchawkę, uniemożliwiając jej dalsze protesty.

Obsesowe zachowanie Jossa zirytowało ją trochę, chociaż z drugiej strony była zadowolona, że nie będzie musiała wracać po ciemku piechotą do domu. Nagle przyszedł jej do głowy szalony pomysł, ale zaraz go odrzuciła. Nie. Wykluczone. Nie ulegąło



wątpliwości, że Jonas Woldbridge mógłby udzielić jej pożyczki, ale zwracając się do niego, wyrzekłaby się wszystkich swoich zasad. Zasadami jednak nie zapłaci za nowe buty dla Toma, za remont domu, za użytkowanie sklepu.

Krótkoterminowa pożyczka, szeptał bałamutny głos. Dopóki nie sprzedasz domu. Zobowiąziesz się oczywiście zapłacić procent. Kilkaset funtów, co to dla niego. Zachmurzyła się. Raczej kilka tysięcy, jeśli by zsumować wszystkie rachunki.

Nie! Nigdy się na to nie zdobędzie. Prośba nie przejdzie jej przez gardło. Kiedyś przecież przysięgała, że nigdy się do niego nie odezwie, skąd więc, teraz takie myśli?

Ku swojemu zaskoczeniu sprzedała jeszcze kilka drobiazgów. Zarobiła nawet więcej, niż się spodziewała, nie złągodziło to jednak jej rozterki. Kiedy punktualnie o piątej zjawił się Joss, ucieszyła się, że już kończy, włączyła alarm i zamknęła sklep.

- Dobry miałaś dzień?
- I dobry, i zły - westchnęła.
- Niezbyt wesoło to zabrzmiało.
- Przepraszam.
- Obawiam się, że moje nowiny nie poprawią ci humoru.
- Co znowu?
- Większość rur w Holy Lodge nadaje się do wymiany. Każdy potencjalny nabywca zażąda opinii rzeczoznawcy, a wtedy... - Joss rzucił Lucy szybkie spojrzenie.
- Gros wydatków pokryje oczywiście ubezpieczenie.
- Przestałam płacić składki - wymamrotała Lucy.
- Co!?

- Nie dawałam rady. Ważniejsze było ubezpieczenie sklepu. Miałam zamiar zapłacić w przyszłym miesiącu, ale ... - przerwała, usiłując się uspokoić. - Nie mogę występować do agencji, muszę sama wykombinować jakieś pieniądze.

Joss zaklął pod nosem.

- Lucy, dom nie nadaje się do zamieszkania. Niektóre z rur zostały doszczętnie zniszczone i hydraulik jest zdania, że należałoby zainstalować zbiornik na parterze zamiast na strychu, gdzie znowu kiedyś mogłyby zamarznąć i popękać.

- Boże! - wykrzyknęła Lucy zdumiona. - To przecież oznacza kapitalny remont, zrywanie podłogi, kucie...

Joss zatrzymał samochód. Kiedy pomagał jej wysiąść, Lucy spojrzała z niechęcią na tablicę z szyderczym napisem „Na sprzedaż”.

Weszli. Zapalili światło i Lucy natychmiast pożałowała, że zostało już naprawione. Jej oczom ukazał się cały ogrom zniszczeń. Zacieki w holu, dywan do wyrzucenia. Na piętrze, gdzie tynk i gruz już uprzątnięto, dziura w suficie. Wszzechogarniająca wilgoć.

- Niezbyt piękny widok, co? - powiedziała, siłąc się na uśmiech.

- Koszmarny. Spakuj rzeczy - polecił Joss, odwracając się i schodząc na dół.

- Słucham?

- Zabieram cię z sobą. Idź i spakuj się.

- Nie mogę! Nie mogę tak po prostu wyjść. To jest mój dom!

- Nie możesz tu mieszkać, dopóki to trochę nie wyschnie. - Joss przybrał minę ojca, który przemawia do krnąbrnego dziecka. - Bądź rozsądna.

- Świetnie. - Wiedziała, że Joss ma rację. - Ale nie będę nadużywać twojej gościnności. Mogę się przespać u Perdy. - Szybkim krokiem przeszła obok niego i wkroczyła do kuchni. Wykręciła numer przyjaciółki, po kilku dzwoneczkach w słuchawce odezwał się jakiś mężczyzna.

- Czy... czy zastałam Perditę? - spytała skonsternowana.

- Oczywiście. Kto mówi?

- Lucy Drummond.

- Kochana, jak leci? - głos Perdy był pełen tłumionego podniecenia. Nie czekając na odpowiedź, zarzuciła Lucy potokiem wymowy. - Właśnie przyjechaliśmy. Spędziłam niebiański weekend w fantastycznej gospodzie w jakimś głuchym zakątku Cotswolds. I nie zgadniesz. Paul przyjechał ze mną! Zostanie... zostanie na trochę. Ale się nie martw - dodała pospiesznie - stawię się w sklepie, jak zwykle. Zwolnisz mnie na godzinkę czy dwie, dobrze, kochanie? - dodała stłumionym szeptem do kogoś razem z nią. Potem zachichotała i zwracając się już znowu do słuchawki zaszczebotała - A u ciebie, wszystko okay? Jak Tom?

- Tom wspaniale - odparła Lucy wesoło.

- Chciałaś coś?

- Nie nic. Zadzwoiłam tylko sprawdzić, czy jutro przyjdiesz.

- Ależ tak, moja droga. Cześć!

Lucy odwróciła twarz do Jossa, który, wielki i zwałisty, czekał oparty o framugę drzwi.

- Nie słyszałem, żebyś prosiła o nocleg.

- Nie. I tak położyłaby mnie po prostu na kanapie. Ale właśnie ktoś się u niej zatrzymał. Nie szkodzi

- dodała z filozoficzną miną. - Skoro mam już światło, nie widzę powodu, żebym nie mogła zostać w domu.

- I nabawiła się zapalenia płuc - odpowiedział Joss i wzdrygnął się. - Przemarzę do szpiku kości stojąc tutaj. Na miłość boską, Lucy, wrzuc trochę rzeczy do torby i jedź ze mną, zanim się oboje przeziębimy.

- Idź. Ja zostaję. - Z upartą miną założyła ręce na piersiach.

- Zakręcili wodę, więc niczego sobie nie ugotujesz, nie zrobisz herbaty, ani się nie wykąpiesz. Poza tym - on również skrzyżował ręce na piersi - nie ruszę się stąd bez ciebie.

- Skąd ta nagła troska? - spytała ze złością. - Latami dla ciebie nie istniałam...

- Bo sama tego chciałaś. Mimo to, ja starałem się nie tracić cię z oczu. No i żył ojciec, który się tobą opiekował.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki!

- Nie? - Spojrzał na nią znacząco i Lucy zaczerwieniła się.

- Taka sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Zawsze znakomicie damy sobie radę sama. Wszystkiemu winna pogoda. Zrządzeń losu nie da się przewidzieć!

- To prawda. - Joss podszedł bliżej. - Ale można przyjąć ofiarowywaną pomoc. Nawet od kogoś, kogo uważasz za nikczemnika.

- Nie bez powodu. - Zmierzyła go wyzywającym spojrzeniem.

- Nie przeczę, że zachowałem się podle, ale weź pod uwagę okoliczności łagodzące. I bardzo szybko chciałem naprawić ci krzywdę. Czy po dziesięciu

latach nie znajdujesz w sercu odrobiny wspaniałomyślności i nie przyjmiesz ode mnie pomocnej dłoni, szczególnie w chwili, kiedy jej tak bardzo potrzebujesz?

Lucy spuściła z tonu. O co tyle szumu, pomyślała zmęczona. Duma zbyt drogo ją kosztowała. Głupio będzie jedną ręką odtrącać podawaną przez Jossa gałązkę oliwną i jednocześnie drugą wyciągać po pożyczkę. Nagle bowiem postanowiła, że się do niego zwróci. Jeśli dobro Toma ma zależeć od tego, czy zdoła schować dumę do kieszeni i poprosić Jonasa Woodbridge'a o pieniądze, nie ma innego wyjścia. Zrobię to dla Toma, zdecydowała.

- Dobrze. Dziękuję - powiedziała cicho. - Pojadę, ale zostanę tylko do momentu, kiedy dom będzie się z powrotem nadawał do zamieszkania.

- Biedactwo. - Joss pogładził ją po głowie. - Niełatwo ci było, prawda?

- Dobrze wiesz, więc nie przeciągaj struny - powiedziała z pasją i cofnęła się. - Spakuję trochę rzeczy. To nie potrwa długo.

- Nie spiesz się. Mamy czas do końca świata.

Spojrzała na niego podejrzliwie i pobiegła na górę. Zapomniała, że Joss lubił nadawać słowom jakby podwójne znaczenie. Caroline tego nie znosiła. Biedna Caroline. A może bogata, może jej kochanek okazał się majątny? Była taka piękna i taka łaskawa dla „przyjaciółeczki Simona”. Ignorowała Lucy, to prawda. Nie mogła ścierpieć faktu, że Joss darzy dziewczynę brata wyraźną sympatią. Kiedy Manuel Vilas pojawił się na horyzoncie, zaczęła za plecami Simona wyśmiewać się z Jossa, bacząc jednocześnie na to, żeby Lucy słyszała kąśliwe uwagi o mężczyznach wzdychających do nastolatek.

Jak raptownie wszystko się owego lata zmieniło! W jednej chwili było słońce, radość i upojenie pierwszą miłością, w drugiej, dosięgnął ich nieubłagany wyrok losu i nic nie było już takie samo jak przedtem. Po gwałtownej kłótni z Jossem Caroline opuściła go dla przystojnego Argentyńczyka, Joss zaczął pić a Lucy unikała go jak zarazy. Biedny Simon zupełnie się nie orientował, co w nich wszystkich wstąpiło. Biedny Simon. Zginął, zanim zdążył nacieszyć się życiem. Tamtego dnia miał odbyć swój pierwszy samodzielny lot, namówił więc Lucy, żeby z nim pojechała. W ten sposób stała się świadkiem tragedii. Mały samolot wzniósł się wysoko i runął. Za wzgórzem, tam, gdzie się rozbił zobaczyła kulę ognia. Stała wrośnięta w ziemię. To na nią spadł niewdzięczny obowiązek zawiadomienia Jossa, że jego brat zabił się podczas lekcji latania, na które w tajemnicy przed rodziną wydał całe swoje oszczędności.

- Lucy! - głos Jossa przywołał ją do rzeczywistości.
- Zamarzną. Jesteś gotowa?

Nigdy bardziej, powiedziała cicho do siebie. Zatrzasnęła walizkę i zbiegła na dół.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pani Benson przyjęła powrót Lucy bez zdziwienia. Co za pomysł mieszkać w zawilgoconym zimnym domu, podczas gdy tutaj czekają gościnne pokoje.

- Przysporzę pani tylko dodatkowej pracy - przeproszała Lucy, wieszając ubranie w szafie sypialni.

- Ani trochę. Pan Joss nie dał mi dzisiaj nic ugotować. Zabiera panią do restauracji.

Tak? zdziwiła się Lucy w duchu.

- Nie uprzedziłeś mnie, że gdzieś idziemy - powiedziała później do Jossa. - Wzięłabym coś bardziej eleganckiego. - Nie wspomniała, że nic takowego nie posiada.

Jos przyjrzał się jej czerwonej, prostej wełnianej sukience.

- Wyglądasz świetnie. Bez zbędnej kokieterii. W sam raz. Nie wspomniałem o tym, ponieważ chciałem uniknąć kłótni, a ty lubisz się spierać. Musisz to przyznać - dodał i uśmiechnął się. - Masz na coś ochotę? - Wskazał tacę z trunkami.

Lucy wybrała sherry i wzniosła toast:

- Za mojego wybawcę.

- Dziękuję. - Joss obserwował ją bacznie. - Jesteś wielkoduszna.

- Gość powinien zachowywać się uprzejmie w stosunku do gospodarza - odparła zdziwiona dziwnym

wyrazem jego oczu. - Przepraszam, jeśli z początku coś... coś było nie tak.

- Szczerze? - spytał z powątpiewaniem. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że istnieje jakaś przyczyna twojej kapitulacji.

- Uznałam, że to najlepsze wyjście. - Skonsterowana wypła dla niepoznaki łyk sherry. Czyżby umiał czytać w cudzych myślach?

- To dobrze, ponieważ przez najbliższy tydzień, a może nawet dwa, nie będziesz się mogła wprowadzić do Holy Lodge.

- Aż tak długo? Chciałabym więc zadzwonić do kierownika szkoły Toma i zawiadomić go, gdzie mnie może w razie czego zastać.

- Oczywiście. Dzwon, a ja zamienię słowo z panią Benson.

- Idziemy? - spytał Joss wracając.

- Jestem gotowa, czekam tylko na ciebie. Chociaż nie widzę powodu, dlaczego miałbyś mnie zabawiać. Nie jestem prawdziwym gościem.

- Nic nie mów, baw się dobrze i nie protestuj - skarcił ją Joss i zagładając jej głęboko w oczy, dodał - chyba, że spędzenie wieczoru ze mną traktujesz jak przymus, a nie przyjemność.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła rumieniąc się.

- Poza tym tak rzadko bywam zapraszana do restauracji, że cieszy mnie nowe doświadczenie.

- Zabrzmiało to szczerze, choć mało taktownie.

- Dzięki! Dajesz mi lekcje pokory, nie ma co.

- Przepraszam. Powiedziałam tylko prawdę.

- Która ma to do siebie, że ciężko ją strawić

- roześmiał się i Lucy w duchu przyznała mu rację.

Restauracja, w której Jonas Woodbridge był bez



wątpienia dobrze znanym gościem, składała się z dwóch sal połączonych ze sobą łukiem. W marmurowych kominkach płonęły prawdziwe polana.

- Podoba ci się tutaj? - spytał Joss, kiedy usiedli.

- Ależ tak. To piękne wnętrze. - Przyjrzała się złożonym sfinksom stojącym po obu stronach komin-ka. - O ile mnie wzrok nie myli, to prawdziwy *empire* - powiedziała wyraźnie pod wrażeniem. - Mam nadzieję, że ich wartość nie jest wliczona do rachunku!

- Nawet jeśli, nie wnoszę sprzeciwu. Tutejsza kuchnia to poezja. - Roześmiał się na głos i Lucy zobaczyła, że kilka pań spojrzało w ich kierunku.

- Same pyszności. Co byś polecił? - spytała, kiedy zgłębiali menu. Odprężyła się. Postanowiła przez kilka następnych godzin oddawać się przyjemnościom i nie myśleć o kłopotach.

.- Chociaż znam cię od czasu, kiedy byłeś puciołowatym urwisem i nosiłeś aparat do prostowania zębów, nie mam pojęcia, co lubisz, oprócz antyków. Czy jesteś wegetarianką, czy skłaniasz się ku *cuisine minceur*, czy też kosztujesz wszystkiego po trochu?

- Gdybym ci opowiedziała o mojej kuchni, dostałabyś na pewno niestrawności. Odżywiam się głównie grahamem i fasolą. - Uśmiechnęła się i spojrzała na Jossa. - Miałabym ochotę na niemal wszystko, co tu podają! - Dostrzegła ból w jego oczach i zarumieniła się, kiedy szybkim ruchem dotknął jej dłoni.

- Wierze ci więc na słowo - powiedział beztróska i zawołał kelnera.

To najwspanialsza uczta w moim życiu, myślała Lucy. Ciepło komin-ka, znakomita obsługa, dyskretny szum rozmów, płynący od innych stolików, wszystko

to podnosiło jeszcze smak kremu z brokułów i ostrego sosu holenderskiego, ragout z małży zapiekanego w delikatnym cieście, oraz wykwintnej sałatki ze świeżych warzyw.

- Smakuje ci? - Joss przerwał milczenie.

- Wyśmienite. W życiu nie jadłem nic równie znakomitego.

- Nigdy nie jadasz poza domem?

- Podczas weekendów albo wakacji zabieraliśmy czasami Toma do pubu na lunch, ale od śmierci ojca nigdzie nie bywam.

- Ojciec i Tom nie byli chyba jedynymi mężczyznami, z którymi się spotykałaś?

- No tak, ale tylko od święta. Muszę bardzo uważać, z kim się zadaję. Pamiętaj, że jako samotna matka dziesięcioletniego syna, prowadząca interes w Abbotsbridge, jestem zdana na łaskę i niełaskę jego mieszkańców. Raz już okazali wielkoduszność i obawiam się, że drugiego potknięcia nie darowaliby mi tak gładko.

- Wciąż mnie nienawidzisz? - spytał Joss cicho.

- Nie - odpowiedziała po chwili namysłu. - Chociaż nie zrobiłeś nic, żeby mi pomóc. Zwaliło się na mnie wówczas wiele: miałam siedemnaście lat, byłam przerażona tym, że jestem w ciąży, pełna wyrzutów sumienia i rozpaczy po śmierci Simona, a ty jeszcze zmieszałeś mnie z błotem.

Joss wpatrywał się w pusty kieliszek.

- Nie miałem prawa tak postąpić. Ale nie odpowiadałem za siebie i to jest moje jedyne usprawiedliwienie.

- To było nieporozumienie - urwała, a Joss zdumiony podniósł na nią wzrok. - Oczekiwałam

współczucia, a nie pieniędzy - ciągnęła, choć nie mówiła całej prawdy. Chciała czegoś więcej, o wiele więcej, ale nie miała zamiaru mówić mu teraz o tym. - Pomysł, żeby żądać od ciebie finansowego wsparcia, nigdy mi nawet nie przyszedł do głowy. - Znowu przerwała. Jeśli chce prosić Jossa o pożyczkę, musi okazać więcej taktu. - Nie roztrząsajmy tego od nowa. Stare dzieje, nie ma o czym mówić. Zjadłabym coś na deser - zakończyła beztroskim tonem.

Joss wybuchnął śmiechem. Panie znowu odwróciły głowy. Nie zdziwiło to Lucy, śmiech Jossa zawsze był zaraźliwy, chociaż obecnie rozbrzmiewał dużo rzadziej.

Rozmawiali o dalekich podróżach Jossa, o wyprawach Lucy do rozmaitych zakątków hrabstwa w poszukiwaniu skarbów, które później sprzedawała w sklepie, i o Perdy Roche.

- Perdy prawie zawsze otoczona jest chmurą mężczyzn - garną się do niej, jak muchy.

- Też byś chciała, żeby mężczyźni zlatywali się do ciebie jak muchy?

- Z moją twarzą? Że nie wspomnę o dziesięcioletnim synu! Chociaż - dodała przypominając coś sobie - kierownik szkoły Toma odnosił się do mnie z wielką atencją, ponieważ brał mnie za wdowę. Kiedy dowiedział się, że jestem panną, natychmiast ochłódnął. Nie nadaję się pewnie na żonę kierownika szkoły.

- A chciałybyś nią zostać?

- Broń Boże! - Lucy skrzywiła się - To nie dla mnie. Narzekam na swoje życie, ale je całkiem lubię. Podróżując poznaję wielu ludzi. Od czasu do czasu z paczką kolegów z branży idziemy w czasie lunchu na drinka z jakąś kanapką, ale to są tylko służbowe kontakty. Rzadko wybieram się gdzieś wieczorem,

nawet jeśli mnie zaproszą. Wieczorami czuję się już zbyt zmęczona.

- To źle! - zaprotestował Joss z naciskiem.

Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Dlaczego?

- W twoim wieku nie powinnaś być zbyt zmęczona, powinnaś się trochę rozerwać. - Joss pochylił się w jej stronę. - Na miłość boską, młoda z ciebie dziewczyna.

- Nie czuję się młoda. - Potrząsnęła głową. - Myślę o sobie jako o matce Toma. Bardzo mi go brakuje, ale wiem, że to z mojej strony egoizm i mam wyrzuty sumienia. On kocha szkołę, a poza tym ojciec nalegał, żeby go posłać do internatu. Bał się chyba, że zbyt się od Toma uzależniam psychicznie i że zrobię z niego mamisynka.

- O ile znam Toma, nie ma obawy, że wyrośnie na mamisynka. - Joss uśmiechnął się mimo woli. - Nie sądzisz jednak, że twój ojciec chciał, żeby chłopak chodził do szkoły, gdzie liczą się z nazwiskiem jego dziadka?

- Powiedział ci to? - Lucy patrzyła na niego zaskoczona.

- Nie. Ale skoro chłopiec nie ma ojca, jego pozycja jest mocniejsza w szkole, którą ukończył jego dziadek, zbiegły z niewoli, otoczony legendą pilot bombowca, i tak dalej. Wyobrażam sobie, że Buldog Drummond chciał zapewnić wnukowi jak najlepszy start w życiu.

- Bardzo trafnie to ująłeś. Dokładnie tak samo rozumował mój ojciec. Chociaż nigdy się pewnie nie dowiem, skąd zdobył pieniądze. Zawsze żył z dnia na dzień, nie martwiąc się o jutro. - Zerknęła na zegarek.

- Boże, jak późno. Chodźmy już do... Wracajmy, dobrze?

- Uważaj - szepnął jej z szyderczym uśmiechem do ucha, kiedy wstawali od stołu - omal nie powiedziałaś „wracajmy do domu”.

- Dobrze, że to ty siedzisz za kierownicą - wyznała Lucy szczerze. Znowu sypał śnieg i jazda w tych warunkach wymagała od Jossa pełnej koncentracji.

- Po wczorajszej przygodzie mam na pewien czas dość samochodu.

- Denerwujesz się? - spytał Joss.

- Nie. - Lucy sama była tym zaskoczona, ale z Jossem czuła się całkowicie bezpieczna.

- Potrzebny ci przyzwoity wóz. Twój stary grat dobrze już się wysłużył.

Potwierdził to, o czym sama świetnie wiedziała, a jednak zmartwiła się. Jeszcze jeden powód, żeby prosić o pożyczkę. Nie ma rady, musi schować dumę do kieszeni i jak najszybciej zwrócić się do Jossa o pomoc. Jeśli tego nie zrobi, jak tylko dotrą na miejsce, czeka ją kolejna bezsenna noc.

Bensonowie już się położyli, ale w gabinecie stała przygotowana taca, na niej dzbanek kawy i domowe biszkopty.

- Wolałabyś może coś mocniejszego? - zaproponował Joss.

- Nie chcę psuć smaku tego wspaniałego wina. Dziękuję, Joss, to był cudowny wieczór.

- Cieszę się, że się dobrze bawiłaś. Biszkopta? - częstował podając jej filiżankę kawy.

Lucy odmówiła z żalem. Biszkopty pani Benson były sławne i pamiętała, że Simon za nimi przepadał.

- Nastawić jakąś muzykę?

- Nie. - Lucy wzięła głęboki oddech. Teraz, albo wcale. - Jest jednak coś, czego bym chciała. - Ręce jej

się trzęsły, kawa wylewała się na spodek. Ostrożnie odstawiła filiżankę na mały stojący obok stół.  
- Muszę prosić cię o przysługę. Znaczną przysługę. Nie zwracałabym się do ciebie, wierz mi, gdybym widziała jakieś inne wyjście.

- Powiedz, o co chodzi - zachęcił Joss, nie spuszczać z niej wzroku.

Lucy przełknęła ślinę.

- Muszę pożyczyć pieniądze. - Stało się.

- Ach tak. Zakładałam, że jestem ostatnią deską ratunku i że inne źródła zawiodły.

Lucy smętnie skinęła głową. Potem, nie ukrywając niczego wyznała, że ojciec oprócz domu, mebli i sumy potrzebnej na opłacenie edukacji Toma nie zostawił ani grosza. Ze wszystkimi szczegółami opowiedziała o zadłużeniu w banku, którego nie chciałyby powiększać, o rachunkach związanych z prowadzeniem interesu, o podwyższonym czynszu za sklep i na ostatku o reperacji samochodu i remoncie domu.

- Jedyne rzeczy przedstawiające jakąś wartość, to antyki, które mam na sprzedaż. Jeśli się ich pozbędę, jak później zarobię na życie? Nie wiem, do kogo się zwrócić, Joss.

- Więc zwracasz się do mnie. - Głos miał obojętny, lecz pod jego spojrzeniem Lucy skurczyła się w sobie.

- Gdybyś się tak zniemacka nie zjawił w Holy Lodge, nigdy by mi taki pomysł nie przyszedł do głowy. - Przygryzła wargi, wiedząc, że niezręcznie się wyraziła. - Wieki cię nie widziałam, tak dużo czasu spędzasz przecież za granicą...

- O jakiej sumie myślałaś?

- Około dwóch tysięcy funtów, jeśli to dla ciebie możliwe. Zwrócę oczywiście procent...

- Lucy, to nierozsądne - przerwał jej. - Dobrze to wszystko przemyślałaś?

- Wiem, że to duża suma...

- Rzecz w tym, że wcale nie. Że to ci nie wystarczy.

- Uważasz, że więcej? - spytała przerażona.

- Tyle wydasz na sam dom. A potrzebny ci jest też nowy samochód. Kiedy się szykowałeś, rozmawiałem ze Stanem. Twierdzi, że reperacja starego się nie opłaca.

- Ależ Joss, nie stać mnie na nowy. Mnie nie urządzi małe auto. Ja muszę mieć wóz dostawczy, żeby móc przewozić meble do sklepu.

- A czy przy obecnym stanie twojego konta stać cię na kupno czegokolwiek do sklepu? - Joss patrzył jej prosto w oczy i Lucy poczuła, że wszystko wokół niej się wali. Była zdruzgotana.

- Sądzę, że mogę zaproponować pewne wyjście - oświadczył Joss spokojnie.

- Jakie?

- Mam nadzieję, że nie sprawię ci przykrości mówiąc, że także chciałem cię o coś dzisiaj poprosić.

- To dlatego zafundowałaś mi obiad w tej drogiej restauracji? Żebym zmiękła?

- Mogłaś odmówić! Ale tak, częściowo dlatego. Dziwne, nie? Każde z nas posiada coś, czego drugie pragnie, możemy więc dojść do porozumienia, nie sądzisz?

Lucy przyglądała mu się z rosnącą podejrzliwością.

- Z mojej strony to żenująco proste. Potrzebuję pieniędzy, a ty masz ich dość, żeby móc mi trochę pożyczyć.

- Dać, nie pożyczyć.

- Dać? - powtórzyła. - Dać?

- Gotów jestem wziąć na siebie i bank, i czynsz, i remont, i samochód.

- Czego żądasz w zamian? - spytała pełna złych przeczuć. - Z pewnością nie tych kilku antyków, ani nie mnie samej.

Joss ujął ją mocno za przeguby rąk i podniósł z kanapy. Zadrżała pod wpływem jego spojrzenia.

- Chcę Toma - oświadczył bez ogródek.

scandalous



## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Chcesz, żebym ci sprzedała syna? - spytała Lucy błędąc.

- To nie powieść Thomasa Hardy'ego. - Joss skrzywił się z niesmakiem. - Uczyń mi tę uprzejmość i wysłuchaj uważnie, co mam do zaproponowania.

- Rozumiem. Więc jednak interes. - Wyrwała rękę, rozcierała zdrętwiałe nadgarstki.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że zostaną ślady. - Głos Jossa przypląnął jakby z oddali.

- Chyba się jednak czegoś napiję. Nalej mi whisky z wodą sodową. - Nogi się pod nią ugięły. Usiadła i dla uspokojenia wypła łyk alkoholu. - Wytłumacz zatem, co masz na myśli - powiedziała, kiedy Joss także usiadł. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - zastrzegła - ale skoro wydałeś tyle forsy, żeby wprawić mnie w bardziej przychylny nastrój, odwdzięczę ci się i wysłucham.

- Mówiąc krótko, chcę mieć dziedzica - odparł Joss spokojnie. Wyraz jego twarzy był tak beznamiętny, jak gdyby omawiał kwestię prawną dotyczącą obcych osób. Lucy przyglądała mu się, ciekawa, czy w środku też jest taki opanowany. - Moją ambicją nie jest założenie dynastii, chciałbym jednak, żeby ten dom odziedziczył ktoś, w czyich żyłach płynie krew Woodbridge'ów. Czy znajdzie się ktoś lepszy niż Tom? Lubię chłopca. I wdzięczny

ci jestem, że ostatnio pozwoliłaś mi od czasu do czasu go widywać.

- Tom cię lubi. Inaczej nie zgodziłabym się. To ojciec przekonał mnie, że nie powinnam się sprzeciwiać - wyznała szczerze.

- Rozumiem. Powinienem był się domyślić. Ale naiwnie sądziłem, że to twój stosunek do mnie się zmienił.

Lucy nic nie odpowiedziała. Milczeli.

- Wiesz, jak ciężko przeżyłem śmierć Simona. Straciłem ochotę do życia. Przytłaczało mnie poczucie winy, głębsze nawet niż rozpacz.

- Winy?

- Nie zapominaj, że byłem jego opiekunem, nie tylko bratem. Ale tamtego lata tłumione uczucie do ciebie i kłótnie z Caroline do tego stopnia mnie pochłonięły, że nie widziałem, co się dzieje tuż pod moim nosem. Gdybym tak kategorycznie nie zabronił Simonowi nauki latania, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Mówił, że spotyka się z tobą, a tak naprawdę szedł na lotnisko pracować w biurze, żeby zarobić na lekcje. I ty go kryłaś. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mnie okłamujecie.

- Ja nie kłamałam. - Lucy spuściła wzrok. - Simon powiedział, że bierze to na siebie. Moja wina polegała na tym, że mu pozwoliłam.

- Nie tylko na to pozwoliłaś, prawda? W przerwach między zajęciami znalazł czas, żeby udzielać ci lekcji z innej dziedziny. Lepiej to robił ode mnie?

- O tym nie będziemy rozmawiać. Jeśli nie zmienisz tematu, wyjdę z tego domu natychmiast i dopilnuję, żebyś już nigdy nie zobaczył Toma. - Coś w jej głosie przekonało Jossa, że nie rzuca słów na wiatr.

- Krótko mówiąc - ciągnął Joss po chwili - wszystko, co zostało po Simonie, to jakieś szkolne trofea, trochę fotografii i Tom.

Zapanowała pełna napięcia cisza.

- Rozumiem - Lucy przerwała w końcu milczenie - że chcesz, abym prawnie uznała, że jesteś wujem Toma.

- Nie. Spłacę twoje długi, jeśli się zgodzisz, żebym został jego ojczymem.

Lucy siedziała jak rażona piorunem. Joss natomiast oparł się wygodnie w fotelu i uśmiechał się do niej pobłaźliwie.

- Innymi słowy, Lucy, proszę, żebyś za mnie wyszła.

- Bardzo ci musi zależeć na Tomie - odpowiedziała.

- Nie doceniasz siebie! Z przyjemnością przyjmę i ciebie jako dobrodziejstwo inwentarza.

- Nie wierzę, że chcesz mnie za żonę. Przypomnij sobie, jak mnie potraktowałeś, kiedy ci powiedziałam, że spodziewam się dziecka.

- Zazdrość, nie rozumiesz? Byłem tak cholernie zazdrosny, że chciałem cię zranić do żywego. - Na twarzy Jossa pojawił się wyraz pogardy dla siebie. - Poza tym potrzebny mi był kozioł ofiarny, ktoś, na kogo mogłem zwalić z siebie całą winę. A ty nie tylko pomagałaś Simonowi wymykać się z domu na lotnisko, ale dałaś zrobić sobie dziecko. I to po tym, jak my oboje... Nie mam powodu do dumy, Lucy. Kiedy oprzytomniałem, byłem gotów oddać duszę diabłu, byle cofnąć słowa, które powiedziałem. - Sięgnął po karafkę, ale zrezygnował i odstawił pustą szklankę na tacę. - No więc, jaka jest twoja odpowiedź na moją propozycję? Zgodzisz się zamieszkać tutaj jako moja żona? Pozwolisz mi pomoc w wychowywaniu twojego syna?

- Chcesz także, żebym wypełniała obowiązki małżeńskie?

- Czy ta perspektywa aż tak cię przeraża? - odpowiedział z kpiącym błyskiem w oku.

- Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Ale kawa na ławę. Wolałabym wiedzieć, na co się godzę, o ile się zgodzę, oczywiście. Jeśli Tomowi nie spodoba się ten pomysł, żadne długi nie zmuszą mnie do powiedzenia „tak”. Chodzi ci przecież o niego, więc jeśli nie zechce, żebyś był jego ojczymem, nie mamy o czym mówić.

- A jeśli zechce, to co?

Lucy milczała. Zastanawiała się. Joss przyglądał się jej w napięciu, aż wreszcie nie mogąc już wytrzymać spytał:

- I jak?

- Dobrze - westchnęła. - Chyba muszę się zgodzić. W tej sytuacji nie widzę dla siebie innego wyjścia.

- Zawsze ta sama Lucy. Nie oszczędzasz mnie. Być ostatnią deską ratunku, to dla mężczyzny lekcja pokory - zakpił.

- W twoim życiu pewnie pierwsza. Kobiety zawsze leciały na każde twoje skinienie.

- Caroline, nie zapominaj, odeszła z innym!

- I wiem dlaczego - palnęła Lucy bez zastanowienia i przygryzła wargi.

Joss usiadł, założył nogę na nogę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Ach tak? Nie wiedziałem, że ci się zwierzała.

- Nie zwierzała mi się. Nie lubiła mnie. Ale pewnego dnia, po kolejnej zażartej kłótni z tobą, omal mnie nie przejechała tu, na waszej drodze. Wskoczyła z samochodu, otrzepała mnie, bo spadłam z roweru, i dała mi kilka rad.

- Jakich? - spytał Joss z zaciekawionym.

- Chyba chciała mnie ostrzec przed tobą. - Lucy usiłowała przypomnieć sobie dokładnie tę scenę. - Powiedziała, że bym nie dała się zwieść twojej... er... słabości do mnie... i nie traciła czasu na związek z mężczyzną, który, cytując: „jest pieprzonym erudyta, ale nie rozumie, że kobieta chce się zabawić i mieć go częściej w łóżku”. Dodała jeszcze, że nie masz dla niej czasu, bo piszesz te swoje śmiertelnie nudne książki o jakichś prymitywnych ludach.

Joss wybuchnął śmiechem.

- Biedaczka! W tej ślicznej główce mało było szarych komórek. Mam nadzieję, że Manuel Wspaniały, jak go Simon przezywał, zdołał zapewnić jej i zabawę i „łóżko”. - Nagle spoważniał - Opinia Caroline nie wpłynie na twoją decyzję? Nie zdradzając zbyt osobistych szczegółów mogę powiedzieć, że to właśnie moje zainteresowanie tobą doprowadzało ją do szaleństwa. Poza tym Caroline miała po prostu za dużo wolnego czasu i za mało rozumu, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- Jak to się więc stało, że zaręczyłeś się z nią? Przepraszam - dodała rumieniąc się - nie mam prawa zadawać ci tak osobistych pytań.

- Masz. Zaczęło się jak zawsze. Spodobała mi się i dałem się złapać na lep. Niestety, szybko się zorientowałem, że zbyt mało mamy wspólnych zainteresowań, aby nasze małżeństwo przerodziło się w prawdziwy związek dwojga dusz. Mimo to, kiedy uciekła z Manuelem Vilasem, moja próżność została boleśnie zraniona.

- Jestem pewna, że kobiety nie dały ci długo cierpieć.

- Nie zaryzykowałem jednak ponownego małżeństwa. - Spojrzał jej prosto w oczy - Do teraz.

- Musisz darzyć Toma prawdziwym uczuciem, skoro zmieniłeś zdanie - wymamrotała.

- Masz rację. Czy jednak tak trudno ci uwierzyć, że darzę uczuciem i ciebie? I że tak było zawsze? Przecież dobrze wiesz. Nie jesteśmy sobie całkowicie obcy. - Nagle wstał i wyciągnął do Lucy rękę. - Musisz być bardzo zmęczona. Chodź, czas do łóżka. - Mimo woli oblała się rumieńcem. - Oczywiście, osobno!  
- Dodał Joss ze śmiechem.

Przed drzwiami gościnnego pokoju Joss ujął ją za rękę i spytał:

- Jak szybko będziesz mogła zobaczyć się z Tomem?  
- naleganie w jego głosie wzruszyło ją.

- Na cały weekend przyjedzie dopiero za trzy tygodnie, ale jeśli poproszę, pozwolą mi zabrać go w niedzielę na lunch... - przerwała uświadamiając sobie, że nie ma jak tam pojechać.

- Weź któryś z moich samochodów - powiedział Joss szybko. - Zawiozłbym cię, ale to by było nie fair. Musisz mieć czas sam na sam z Tomem.

- Dobrze. Porozumiem się z kierownikiem szkoły.  
- Chyba nie z tym, który cię emablował?  
- Z tym samym - uśmiechnęła się zuchwale.  
- Dobranoc, Joss.

Była prawie pewna, że ją pocałuje, jednak wspomnienie wczorajszego wieczoru najwyraźniej go powstrzymało.

- Dobranoc. - Podniósł jej rękę do ust. - Śpij dobrze.

Po tak doniosłym wieczorze trudno będzie zasnąć, myślała Lucy rozbierając się. Z obawą oczekiwała nadchodzącego tygodnia. Trudno jej będzie, najłagodniej mówiąc, mieszkać pod tym samym dachem

z mężczyzną, który właśnie się jej oświadczył, skoro nie może mu dać wiążącej odpowiedzi, dopóki nie porozmawia z synem!

Tuż przed zaśnięciem jeszcze jedna przynębiająca myśl przyszła jej do głowy. Czy, jeśli nie wyjdzie za Jossa, dostanie od niego pożyczkę?

Kiedy rano zeszła do jadani, ubrana bardziej elegancko niż zwykle do pracy, zobaczyła na stole tylko jedno nakrycie. Poczowała się zawiedziona i to ją zirytowało.

- Sama będę dziś jadła śniadanie? - spytała pani Benson.

- Tak, kochanie - odpowiedziała gospodyni, wyjmując z kieszeni kopertę. - Pan Joss to dla ciebie zostawił. Przygotuję coś dobrego zamiast grzanki.

Dużo czasu zajęło Lucy przekonanie pani Benson, że grzanka w zupełności wystarczy, i kiedy nareszcie została sama, rozerwała kopertę.

„Wyjeżdżam na kilka dni do Londynu zobaczyć się z moim wydawcą i załatwić jeszcze kilka innych spraw. Tobie będzie tak łatwiej. Czuj się jak u siebie w domu i proś panią Benson o wszystko, czego ci potrzeba. Jeśli land rover ci nie odpowiada, jest jeszcze volkswagen polo. Zobaczymy się w niedzielę wieczorem po twoim powrocie od Toma.”

Lucy wpatrywała się w duże zakręcone „J” na końcu. Nastawiła się już na spędzanie wieczorów w towarzystwie Jossa, a teraz, kiedy on taktownie usunął się ze sceny, poczuła się dotknięta. Bez apetytu zjadła grzankę, wypła cały dzbanek kawy i poszła poszukać Bensa.

- Pan Joss sądził, że land rover będzie trochę za duży - wyjaśnił Benson, prowadząc ją do garażu.

- Racja, to cacko bardziej mi odpowiada. Dziękuję. Do zobaczenia wieczorem.

A gdybym zmieniła zdanie, myślała gorączkowo, jadąc do miasta. Gdybym wróciła do domu, albo zamieszkała nad sklepem? Teraz nadarza się znakomita okazja. Joss wyjechał, więc mi nie przeszkodzi. Czyżby był aż tak pewny? Czyżby uważał zgodę Toma za czystą formalność? Bardzo możliwe, że zdaje sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie mam się gdzie przeprowadzić. Westchnęła. Pomyślała, że jeśli Tom nie zechce Jossa za ojczyma, tych kilka dni spędzonych w Abbot's Wood będą dla niej luksusowymi wakacjami. Pokusa była zbyt silna. Żadnego gotowania, żadnego sprzątania po powrocie z pracy, za to miła pogawędka z panią Benson, która zawsze miała do niej słabość.

Zadzwoiła do Perdy, dając jej wolne popołudnie. Zaprosiła ją jednak na lunch, żeby móc porozmawiać o wydarzeniach dwóch ostatnich dni. Chociaż nie o wszystkim, zastrzegła się w duchu. Oświadczyły to zbyt osobista sprawa, ale ponieważ całe miasteczko już na pewno wiedziało, że spędziła noc w Abbot's Wood, wołała sama opowiedzieć o tym przyjaciółce.

Perdy zjawiła się punktualnie o pierwszej. Jej kocie oczy aż płonęły z ciekawości.

- Co się tu dzieje? Mów!

- Poczekaj. Chodźmy. Umieram z głodu.

Dopiero w pubie, zającąc gorące paszteciki i popijając piwo, Lucy opowiedziała całą historię. Perdy słuchała, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Na Boga, Lucy, myślałam, że nigdy nie pozwolisz Jossowi nawet się zbliżyć do swoich drzwi.

- Nie miałam wyboru. Były otwarte. Wszystko



jedno. Kiedy u ciebie nikt nie podnosił słuchawki, uparł się, żebym przenocowała w Abbot's Wood.

- I pojechałaś? - Perdy podejrzliwie przyglądała się beznamiętnej twarzy Lucy. - Tak bez sprzeciwu?

- Opierałam się trochę - Lucy wypiła łyk piwa.

- Ale było już bardzo późno i zimno, zdecydowałam więc, że to jedyne rozsądne wyjście.

- Czy zaprosił cię również do swojego łóżka?

- No wiesz! Pani Benson przygotowała dla mnie bardzo wygodny pokój gościnny.

- Zapomniałam o Bensonach. Prawda. - Perdy odeszła na chwilę przynieść kawę, a kiedy wróciła, miała minę osoby zdecydowanej wyciągnąć z przyjaciółki wszystkie szczegóły. - Co teraz? Skąd weźmiesz pieniądze na remont? Pamiętam, że zrezygnowałaś z ubezpieczenia domu.

- Dobrze pamiętasz. Nie będzie łatwo, ale znajdę jakiś sposób. - Nie zwierzyła się z zawartej umowy, powiedziała tylko Perdy, że zostanie w Abbot's Wood jeszcze do końca tygodnia. Potem zapytała o jej nowego przyjaciela. Okazało się, że posiada jedwabistą brodę, poza tym jest wspaniałym artystą i kucharzem.

- Bardzo pożyteczne! - wykrzyknęła Lucy. - Przy najmniej cię nakarmi, a nie tylko dopieści.

- Skąd wiesz, że mnie „dopieszczą”, jak się delikatnie wyraziłaś? - Perdy udawała oburzoną, zaraz jednak nie wytrzymała i zaczęła chichotać.

- Bo tego nie można ukryć. Oczy ci błyszczą.

- Szkoda, że w twoich zamiast błysku widać jedynie troski.

- W Abbotsbridge tego rodzaju błysk w oczach samotnych matek dziesięcioletnich chłopców jest absolutnie zabroniony, muszę więc zostać przy swoich

troskach. - Poklepała Perdy po rękę. - Ciesz się Paulem, kochana, i nie martw się o mnie. Jakoś to będzie.

W ciągu następnych kilku dni często to sobie powtarzała. Po każdej wizycie w domu czuła się kompletnie załamana, bo chociaż mniej już było wilgoci, wiosenne słońce bezlitośnie obnażało wieloletnie zaniedbania.

- Jak remont? - spytał Joss, kiedy zadzwonił w połowie tygodnia.

- Bardzo dobrze. Wszędzie straszny bałagan, rury, trociny. Ponakrywałam, co się dało... - przerwała.

- Dziękuję, że się tym zająłeś.

- Podziękuj raczej Tedowi, nie mnie. Dzwoniłaś do szkoły?

- Tak. Zabiorę Toma na lunch w niedzielę, ale muszę go odwieźć wcześniej, bo wyświetlają dla nich jakiś film. Powinam wrócić najpóźniej o szóstej.

- Świetnie, będę na ciebie czekał. Dobranoc.

Tydzień minął nadspodziewanie szybko. Do sklepu wpadało więcej ludzi, oglądać raczej niż kupować, można było jednak wyczuć pewne ożywienie w porównaniu z martwym okresem po Bożym Narodzeniu. W sobotę, kiedy Perdy przyszła jej pomóc, Lucy skorzystała z okazji i poszła do fryzjera.

- Mam nadzieję, że Tom doceni twoje wysiłki - skomentowała Perdy szykowne uczesanie Lucy. Uniosła też brwi na widok firmowej torby z najmodniejszego butiku w Abbotsbridge.

- Od lat nie sprawiłam sobie niczego nowego - usprawiedliwiała się Lucy, wyjmując śliwkowy wełniany kostium. - Tom zasłużył na to, żebym raz dla odmiany zjawiła się elegancko ubrana.

- Jestem pewna, że zrobisz na nim piorunujące wrażenie. Ale sądziłam, że jesteś spłukana - dodała z kamienną twarzą.

- Bo jestem. Wbrew swoim zasadom skorzystałam z karty kredytowej. - Wruszyła ramionami. - Może uda mi się sprzedać dom, zanim przyślą rachunek?

- Miejmy nadzieję. - Surowa mina Perdy złagodniała. - W każdym razie sprzedałam dziś pani Hope-Seddon parę kamiennych waz. Wymyśliła sobie, że posadzi w nich geranium. Spuściłam jednak cenę do stu pięćdziesięciu funtów.

- One kosztowały tylko sto!

- Och! - wykrzyknęła Perdy. - A ja myślałam, że sto za każdą. - Zachichotała. - Starucha była uszczęśliwiona. Nie martw się, na biednego nie trafiło.

- Muszę jej powie...

- Nie zrobisz tego. - Zaprotestowała Perdy. - A jeśli się uprzesz, dołożę z własnej kieszeni. Zwróci ci się chociaż trochę za kostium.

Resztki wyrzutów sumienia, że posłuchała rady przyjaciółki, zniknęły, kiedy następnego dnia Tom wybiegł na jej spotkanie i oniemiał z zachwytu.

- Wyglądasz ekstra. Kupiłaś?

- Tak. Podoba ci się?

Tom z aprobatą kiwnął głową. Kiedy szli w stronę parkingu zapytał:

- Dlaczego przyjechałaś? Worsley i Bannister są strasznie ciekawi. Miałaś przyjechać dopiero za miesiąc.

- Tak. - Lucy zmobilizowała całą odwagę. - Jest jednak coś, o czym musimy porozmawiać. Ale najpierw zjemy lunch.

- Gdzie? - oczy mu zabłyśły.

- Może w tym ładnym pubie nad rzeką?

- Hurraaa! - Rozejrzał się po parkingu. - Gdzie nasz samochód?

- Rozbiłam go. Pamiętasz, pisałam ci o tym.

- Zapomniałem. Przepraszam. Tobie nic się nie stało? - Przyjrzał się jej uważnie.

- Nic.

- Skąd go masz? Nowy - zdziwił się, kiedy stanęli obok żółtego polo.

- Pożyczyłam.

Tom był tak zachwycony jazdą i wyśmienitym jedzeniem, że Lucy nie spieszyła się z rozmową na poważne tematy. Ale w końcu musiała wtajemniczyć go w przyczyny swojej wizyty.

- Słuchaj, synku. Chcę zadać ci kilka pytań i proszę, żebyś mi szczerze odpowiedział - zaczęła. - Nie staraj się zrobić mi przyjemności, ale powiedz prawdę.

- Dobrze - obiecał, wpatrując się w nią badawczym wzrokiem.

- Jakiś czas temu poznałeś pana Jonasa Woodb—ridge'a, prawda? - zaczęła, starannie dobierając słowa.

- Powiedz mi, co o nim myślisz?

- Lubię go. Świetny facet. Nie gada głupot.

- Co?

- No, nie tak jak pan Fenton. - Pan Fenton, wikary w kościele Marii Panny w Abbotsbridge, zapraszał czasami Lucy na koncerty. Stary kawaler odnosił się do Toma serdecznie, co peszyło chłopca.

- Jak w takim razie rozmawia z tobą pan Woodb—ridge?

- Podobnie jak dziadek. - Ojciec Lucy traktował Toma jak równego sobie.

- Czyli dobrze się ze sobą zgadzacie, tak?

- Nie widuję go zbyt często - Tom był skrupowany

i wyglądał przez okno. - Wiem, że nie chcesz, żebym chodził do Abbot's Wood. Dziadek mówił, że ty i Joss posprzeczialiście się kiedyś.

- To prawda. - Lucy zauważyła, że chłopiec powiedział „Joss”. - Bardzo mnie rozgniewał.

- Ale dziadek mówił, że potem dużo razy chciał ciebie przeprosić, tylko ty nie chciałaś go widzieć.

- Tom spojrział na nią z wyrzutem. Serce zabiło jej mocniej. - Dziadek mówił, że poszło o... o jego brata.

- Chłopiec spuścił oczy.

- To prawda.

Biedny Tom. Nigdy nie pytał, kto był jego ojcem. Przynajmniej nie ją. Zwracał się z tym do dziadka. Wyglądało jednak, że wiedział, iż jest synem Simona Woodbridge'a.

- W momentach strasznej rozpaczycy ludzie mówią sobie okrutne rzeczy. Po śmierci Simona pan Woodbrodge odchodził od zmysłów i winił za wszystko mnie.

- Ale to nie była twoja wina, prawda? - dopytywał się Tom zaniepokojony.

Opowiedziała o kursie pilotażu, na który, wbrew zakazowi Jossa, Simon uczęszczał. Wyjaśniła, że Joss miał pretensje, że mu o tym nie powiedziała.

- Nie mogłaś przecież donosić, prawda?

- Tak - westchnęła. - Ale potem żałowałam.

Tom ze zrozumieniem kiwał głową. Wzruszyła ją jego chęć okazania współczucia.

- Joss już się na ciebie nie gniewa?

- Nie.

- A ty na niego?

- Też nie. Widzisz teraz - wzięła głęboki oddech - pan Woodbridge chce się ze mną ożenić. Co ty na to?

- To nazywałabyś się „pani Woodbridge”? - Tom zrobił wielkie oczy.

- No tak. Chyba musiałabym, nie?

- I Joss byłby moim ojczymem i przyjeżdżałby na mecze i...

- Tom! - przerwała mu. Nagle jakby opuściły ją siły. - Czy to znaczy, że podoba ci się ten pomysł?

- Podoba? - Wydawało jej się przez moment, że Tom rzuci się jej na szyję. Opanował się jednak i uśmiechając się szeroko wyznał: - Jest fantastyczny!

Scandalous

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Radość, z jaką Tom zareagował na wieść, że Joss zostanie jego ojczymem, zaskoczyła Lucy. Analizując swoją reakcję doszła do wniosku, że jej opór wcale nie jest aż tak silny, jak próbowała to sobie wmówić. Podejrzewała teraz, że jej kategoryczna odmowa zobaczenia się z Jossem ilekroć przychodził ją przeprosić, wynikała z obawy, że mu od razu przebaczy. Ojciec niezmordowanie próbował ich pogodzić, ale bez skutku. Była przecież jego nieodrodną córką.

Kiedy skręciła już na drogę do Abbot's Wood, miała ochotę zawrócić i uciec, gdzie pieprz rośnie. Dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy odkryła, że jest w ciąży. Jeśli jednak wówczas, jako niedoświadczona siedemnastolatka, poradziła sobie jakoś, teraz, starsza i mądrzejsza, też sobie poradzi. Naprawdę mądrzejsza? Uśmiechnęła się do siebie drwiąco. Zatrzymała samochód przed domem. Zanim zdążyła wyjąć kluczyki ze stacyjki, Joss wybiegł na jej spotkanie. Wyglądał na zmęczonego, starszego.

- Hej. Jak Tom? - Wziął ją pod rękę i wprowadził do środka.

- Świetnie.

- Napijmy się czegoś.

Widząc, jaki jest zdenerwowany, Lucy odprężyła się. Musi bardzo kochać Toma, pomyślała.

- Jak było w Londynie?

- Mordercze tempo. - Napił się. - Bardzo elegancko dzisiaj wyglądasz.

- Staram się dla Toma. Mam wyglądać dobrze, ale nie inaczej niż zwykle. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście, kiedy się ma dużo pieniędzy, albo odpowiednie nazwisko, można chodzić w wyciągniętym swetrze i poplamionych nawozem bryczesach, jak matka jego najlepszego przyjaciela. Ale ona jest córką, zacytuję mojego syna „lorda czy coś w tym rodzaju”.

- Jaki wyrok? Kciuki w dół?

- Wręcz przeciwnie. Tom zareagował wprost entuzjastycznie.

- Naprawdę? - Oczy Jossa rozbliły.

- Tak. Nie posiadał się z radości, że będę się nazywała „pani Woodbridge”. Do tej pory nigdy nie dał po sobie poznać, że przeżywa to, iż jego mama jest „panną Drummond”. - Joss otoczył ją łagodnie ramieniem. Lucy przytuliła się do niego, wdzięczna za ten gest otuchy. - Kiedy nasza rozmowa zesłała już na ten temat - ciągnęła - odważyłam się go zapytać, co myśli o tym, że nie wyszłam za mąż. Okazało się, że dziadek mu wytłumaczył, że Simon zginął i nie mógł się ze mną ożenić. - Joss objął ją mocniej. - Najwyraźniej wytłumaczył mu również, że zdarza się, że ludzie mają dzieci nawet bez ślubu, szczególnie, jeśli się kochają. Musiałam go zapewnić, że kochałam Simona, a to, Bóg jeden wie, prawda.

- Nadal go kochasz? - Joss patrzył jej prosto w twarz.

- Od jego śmierci minęło jednaście lat. Zostało mi tylko wspomnienie tamtego uczucia. Miałam zaledwie siedemnaście lat. Nie oczekujesz chyba, że do końca życia będę wierna wspomnieniom!



- Wręcz przeciwnie. Wolałbym, żeby moja żona nie oddawała się wciąż wspomnieniom o innym mężczyźnie, nawet jeśli był moim bratem.

- Zgadza się. - Lucy wstała. - Więc wszystko już sobie wyjaśniliśmy, prawda?

- Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie. - Joss nalał sobie jeszcze jednego drinka. - Czy perspektywa wyjścia za mnie tak cię przygnębia?

- Nie, oczywiście, że nie. - Lucy poczuła się skruszona. - Przepraszam cię, ale był to dzień pełen przeżyć.

- Więc nie wracajmy do nich - powiedział wypijając drinka jednym haustem. - Zaczniemy od nowa, dobrze? Udawajmy, że nasze zaręczyny miały bardziej konwencjonalny przebieg.

- Masz na myśli zgodę mojego ojca, a nie syna?  
- roześmiała się.

- Właśnie. Myślę, że byłby zadowolony.

- Ja też tak sądzę. Miał o tobie wysokie mniemanie. Denerwowało go zawsze, kiedy ja...

- Kiedy nie chciałaś się z nim zgodzić? Wiem. Mówił mi.

- Tak więc masz przychylność i ojca i syna...

- Lucy rozłożyła ręce.

- Najwyższa więc pora, żebym zapytał, czy wyjdiesz za mnie. Ciebie samą, nie córkę Toma Drummonda seniora, ani matkę Toma Drummonda juniora, ale ciebie, Lucy. Czy chcesz zostać moją żoną?

- Tak. - Zawahała się. - Ale pod pewnymi warunkami.

- Warunkami? Wydawało mi się, że już poszedłem na pewne ustępstwa.

- Racja, i jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna.

Ale nie wiem jeszcze - Lucy wpatrywała się w niego błagalnym wzrokiem - czy jestem w stanie pełnić wszystkie obowiązki żony, których ode mnie oczekujesz.

- Wyrażaj się jasno - Joss przerwał jej brutalnie.  
- Chodzi ci o to, że nie masz ochoty na wspólnotę łoża?  
- To niezupełnie tak - zaprotestowała urażona.  
- Spróbuj mnie zrozumieć. Przez tyle lat miałam ciebie za wroga...

- Jakbym o tym nie wiedział!  
- Widzisz, ja nie potrafię udawać. To prawda, że z biegiem czasu przestałam żywić do ciebie tak silny żal i... i odrazę jak kiedyś, niemniej moje uczucia trudno by było nazwać przyjaznymi. Proszę cię, żebyś dał mi trochę czasu. Żebym się przyzwyczała do myśli, że będziesz moim mężem. - Widząc lodowatą minę Jossa Lucy żałowała, że poruszyła ten temat. Mogła, głupia, przewidzieć jego reakcję. - Rozumiem - brnęła jednak dalej - że czujesz się zawiedziony. Wydajesz na mnie tyle pieniędzy, możesz się więc spodziewać czegoś w zamian... zamilkła widząc błysk obrzydzenia w jego oczach.

- Gdybym chciał kupić sobie miłość - powiedział z naciskiem - kosztowałoby mnie to znacznie mniej, niż suma potrzebna na doprowadzenie twojego domu do porządku. Postawmy sprawę jasno. Żenię się z tobą, bo chcę Toma. Jeśli myślałaś, że nasz związek będzie normalnym małżeństwem, to bardzo dobrze. Jeśli jednak chciałaś obdarzyć mnie swymi względami w zamian za poniesione wydatki, dziękuję. Ja zostanę w swoim łóżku, ty w swoim. Jeśli kiedyś zmienisz zdanie, zawiadom mnie, a chętnie będę na twoje usługi. Do tego czasu śpij spokojnie.

Lucy zadrżała. Dotknęła przyszęłego męża do żywego. Spuściła wzrok, ale zaraz podniosła głowę.

- Co chcesz, żebym teraz zrobiła? - spytała. - Poszła do siebie, usunęła ci się z oczu?

- Oczywiście, że nie - wyraz twarzy Jossa złagodniał.  
- Pani Benson przygotowała zimną kolację. Musisz być głodna.

Ku swojemu zaskoczeniu Lucy poczuła, że jest. Widząc półmisek z plasterkami piersi kurczaka garniowanego avocado i brzoskwinia, nałożyła dla obojga spore porcje i rzuciła się na jedzenie.

- Dziwny mam apetyt - zwierzyła mu się między jednym kęsem a drugim. - Lunchu prawie nie tknęłam, tak byłam stremowana tym, co mam do powiedzenia Tomowi. A teraz, po sprzeczce z tobą, zjadłabym konia z kopytami.

- Cieszę się. - Joss zachichotał. - Przyzwoite odżywianie ci nie zaszkodzi. Wolałem cię taką, jak dawniej. Okraglejszą.

- Taką kluchowatą? - Skrzywiła się. - Nie cierpiałam tego. Zazdrościłam Caroline figury.

- A ona, zdradzę ci, oddałaby wszystko, żeby mieć twoje kształty.

- Żartujesz.

- Wcale nie. - Joss potrząsnął głową i roześmiał się. - Doskonale pamiętam, jak powiedziała, że mężczyźni tracą rozum na widok takich piersi jak twoje, co świadczyło, że ci ich piekielnie zazdrości.

Lucy oblała się rumieńcem. Spuściła głowę i zajęła się jedzeniem.

- Jacy ludzie są dziwni - powiedziała. - Zawsze chcemy mieć to, co jest poza naszym zasięgiem.

- Trafna uwaga. Bardzo trafna. Czy masz jakieś

życzenia co do ceremonii ślubnej? - zapytał, jakby nigdy nic.

Lucy zastygła z widelcem w pół drogi między talerzem a ustami. O ślubie nie odważyła się jeszcze nawet pomyśleć.

- Sądzę, że w tych okolicznościach uroczystość powinna być Tc( ) gie

scandalous

scandalous

*scandalous*

*scandalous*



scandalous

scandalous

*scandalous*

*Scandalous*

*scandalous*

*scandalous*

scandalous

*scandalous*



scandalous

*scandalous*

*scandalous*

*Scandalous*

*scandalous*

*scandalous*

scandalous

*Scandalous*



*scandalous*

*scandalous*

scandalous

*Scandalous*

scandalous

scandalous

scandalous

*scandalous*



*scandalous*

scandalous

*scandalous*

*scandalous*

scandalous

*Scandalous*

*scandalous*

*scandalous*



*scandalous*

*scandalous*

*scandalous*

*scandalous*

scandalous

scandalous

scandalous

*scandalous*



właśnie do gabinetu wpadł Tom i narobił mnóstwo zamieszania. Ogromnie podniecony planowaną na następny dzień wyprawą na ryby, wypytywał Jossa o najlepsze miejsca nad rzeką. Lucy przysłuchiwała się nie biorąc udziału w rozmowie. Teraz, kiedy Tom ma i Jossa i Bensonów, mogę czasami czuć się poza nawiasem, myślała niewesoło.

- Nie chciałbyś zaprosić Bena Todda? - zaproponowała.

Tom zastanowił się i po chwili odpowiedział:

- Innym razem. Jutro wolę iść tylko z Jossem.

Joss był wyraźnie wzruszony i kiedy pytał Toma, czego się napije, w jego głosie słychać było lekką chrypkę.

Wróciwszy następnego dnia późnym popołudniem do domu, Lucy nie zastała swoich „chłopców”.

- Spóźniają się - powiedziała zaniepokojona do pani Benson w kuchni. - Nie telefonowali?

- Nie - pani Benson również zaniepokojona zerknęła na zegar. - Ale jest dopiero wpół do szóstej, nie trzeba się martwić. Ryby pewnie biorą i stracili poczucie czasu. Niech się pani wykąpie, panienko Lucy. Wróć, zanim się pani wyszykuje.

Lucy zdążyła wziąć kąpiel, przebrać się i doprowadzić się do rozstroju nerwowego, kiedy nareszcie nadjechał land rover. Na uginających się nogach wybiegła na podest schodów właśnie w chwili, kiedy Benson wspólnie z Jossem pomagali Tomowi wejść na górę. Tom uśmiechał się dzielnie, był jednak bardzo blady.

- Nic strasznego - uspokoił ją Joss, biorąc chłopca na plecy i niosąc go do jego pokoju.

- Przewróciłem się na brzegu i wbiłem sobie kawał szkła w stopę - wyjaśnił Tom.

- W porządku - powiedziała Lucy od dziecka nauczona nie rozczulać się nad drobiazgami. - Zobaczmy, jak to wygląda.

- Ściągałem mu gumowy but, a on wyskoczył z niego jak pasta z tuby i zanim się obejrzałem popędził w dół. Dobrze, że zaopatrzyłaś nas w plastry.

- Kiedy go lepiej poznasz, przyzwyczaisz się do tego, że bez plastrów nie można się ruszać nawet za próg. Nie tak dawno temu przewrócił się na dziedzińcu szkolnym i rozciął sobie głowę.

- Opowiadałem już o tym Jossowi - powiedział Tom z dumą. Usiłował nie krzywić się z bólu, kiedy matka zrywała duży opatrunek z podbicia stopy.

- Chcieli mi nawet zrobić transfuzję, ale w końcu okazała się niepotrzebna.

- To brzmi bardzo poważnie. - przyznał Joss.

- Złowiliście coś? - spytała Lucy.

- Ja aż trzy sztuki - pochwalił się Tom. - Ale wrzuciliśmy je z powrotem do wody.

- Mimo że były całkiem spore - dodał Joss, uśmiechając się do chłopca. - No cóż. Spróbujesz zejść na dół na obiad, czy wolisz zostać tu w łóżku i pooglądać telewizję?

- Mogę? - Tom spojrzał pytająco na Lucy. - Nie będzie za dużo kłopotu?

- Jestem pewien, że pani Benson z radością ci coś przyniesie - uspokoił go Joss. - Rana się szybciej zagoi, jeśli nie będziesz forsować nogi. Wezmę prysznic, a tymczasem ty - zwrócił się teraz do Lucy - zamień się w Florence Nightingale.

Przy obiedzie Joss zabawiał Lucy dowcipną rozmową. Opowiedział jej o zabawnym lunchu, na który został zaproszony w towarzystwie innych pisarzy,

wypowiedział kilka uwag na temat audycji telewizyjnej, którą poprzedniego wieczoru wspólnie obejrzel, nawiązał do jakiejś informacji w gazecie. Lucy słuchała, przyglądając mu się uważnie. Ogarnęły ją złe przeczucia. Stało się coś? Czymś go obraziła? Nie pocałowała go na powitanie, to prawda, ale chyba nie ma jej tego za złe, dźwigał przecież na rękach jej syna. A może ma ukryty żal, że rzadziej się teraz Kochają? Z ulgą wstała od stołu. Zajrzeli jeszcze raz do Toma i w końcu usiedli w gabinecie, gdzie nikt im nie przeszkadzał.

- O co chodzi? - spytała, nie mogąc już ani chwili dłużej wytrzymać tej dziwnej sytuacji. - Czy zrobiłam coś złego?

- Nie. - Joss powoli zapalał cygaro. - Nurtuje mnie raczej to, czego nie zrobiłaś.

- Wiem, że nie przywitałam się z tobą zbyt serdecznie. Ale było takie zamieszanie...

- Nie traktuj mnie, jakbym był dzieckiem!

Lucy skuliła się pod wpływem ostrego tonu, jakim Joss wypowiedział te słowa. Przyzwyczyła się już, że ją we wszystkim akceptuje. Teraz poczuła się niepewnie. Przeszył ją zimny dreszcz.

- Wytłumacz mi, co się stało - poprosiła, starając się zachować spokój.

- Relacja Toma o jego wypadku w szkole bardzo mnie zainteresowała.

- Naprawdę? - Twarz Lucy była bez wyrazu.

- Z niejaką dumą oznajmił mi, jaką ma grupę krwi. Rzadko spotykana, prawda?

- Tak mi się wydaje. Inną, niż moja. - Serce zaczęło jej walić.

- A jaką grupę krwi ty masz? - Joss uniósł brwi.

- Bardzo pospolitą. 0 Rh +.

- Dziwne. Taką samą jak Simon. Za to ja - Joss spojrział Lucy prosto w oczy - mam grupę 0 Rh -. Jak Tom.

Lucy patrzyła na niego w milczeniu.

- Nic nie mówisz? Wyjaśnię więc dalej. Mój ojciec miał tę samą grupę krwi co Tom i ja. Podczas ostatniej choroby kilkakrotnie przetaczano mu krew, stąd wiem. Simon musiał odziedziczyć grupę krwi po swoim ojcu.

- Po swoim ojcu! - powtórzyła Lucy jak echo.  
- Co chcesz przez to powiedzieć?

Joss usiadł głębiej w fotelu. Jego twarz przybrała wyraz skupiony i daleki.

- Zaraz wyjaśnię. Simon był synem ciotki Oliwii, Oliwii Woodbridge, siostry mojego ojca. To tajemnica, którą skrzętnie ukrywano. Sam nie miałem o niczym pojęcia, dopóki ojciec nie zachorował i nie powiedział mi. Simon nigdy nie poznał prawdy. - Joss uśmiechnął się nieznacznie do Lucy. - Lepiej od innych wiesz, że takie wypadki się zdarzają. Dla mojej ciotki, trzydzieści lat temu, była to hańba, tym bardziej, że mężczyzna, z którym się związała, miał żonę. Tu dochodzimy do mojej matki. Ponieważ już od pewnego czasu jej zdrowie się pogarszało, postanowiła, w porozumieniu z ojcem, przyjść Oliwii z pomocą i udawać, że sama spodziewa się dziecka, ciąża więc jest przyczyną niedyspozycji. Ciotka wyjechała, a w odpowiednim czasie owoc jej grzechu, jak wówczas popularnie mówiono, został przemycony do Abbot's Wood. Matka niedługo po tym umarła, a poród uznano za przyczynę jej śmierci. Nikogo nie zdziwił powrót Oliwii, która zajęła się nami i domem. Nikomu nie przyszło do głowy, że poświęciła resztę życia wychowaniu syna udając, że jest jego ciotką, nie matką.

W pokoju zaległa cisza. Lucy czuła, jak między nią a Jossem wyrasta niewidzialna bariera.

- No co? - odezwał się Joss sarkastycznym tonem
- czyżbyś straciła głos?

Lucy odwróciła wzrok. Jak dziwnie. Teraz gdy nadszedł ten straszny moment, zrobiło jej się lżej na duszy, chociaż obawy nie zniknęły. A jeśli Joss się od niej odwróci? Przecież już raz tak zrobił. Nieugięty wyraz jego twarzy, wysunięta szczeka, ostrzegały, że nie może liczyć na współczucie. Co począć? Upieranie się, że identyczna grupa krwi to zbieg okoliczności, jest przecież bez sensu.

Joss przyglądał się jej wyrazistej twarzy, jakby czytał jej myśli.

- Chcesz zaprzeczyć, że Tom jest moim synem?
- Nie.
- To bardzo rozsądnie z twojej strony. Dziecko twoje i Simona nie mogłoby mieć tej grupy krwi, co Tom... i ja. Sąd prawdopodobnie nie uznałby ojcostwa, gdyż badanie krwi raczej wyklucza, kto nie jest ojcem, niż potwierdza, kto nim jest. Niemniej zakładam, że Tom jest moim synem. Chyba, że - w spojrzeniu Jossa było wyzwanie - tamtego lata zdołałaś mieć jeszcze trzeciego kochanka z odpowiednią grupą krwi.
- Nie - powiedziała po dłuższej chwili. Przełknęła obelgę. Gniew Jossa był uzasadniony. - Byłam głupia sądząc, że uda mi się ukryć to przed tobą. Nie znam się na grupach krwi, no i oczywiście, nic nie wiedziałam o losie twojej ciotki Oliwii. Biedactwo. Co za smutne życie, udawać, że nie jest matką...
- Twoje współczucie dla niej dobrze o tobie świadczy
- przerwał jej Joss ostro. - Ale w tej chwili, mimo że ciotka była mi naprawdę droga, bardziej interesujesz

mnie ty. I Tom. - Przez moment Lucy myślała, że Joss się na nią rzuci. Drżała. Joss jednak siedział bez ruchu, tylko oczy płonęły w jego twarzy. - Dlaczego, na miłość boską, nigdy mi nie powiedziałaś? - spytał przerywając milczenie. - Tamtego dnia, kiedy Simon wpadł do mojego gabinetu i oznajmił mi, że spodziewasz się jego dziecka i że chce się z tobą natychmiast ożenić, wpadłem we wściekłość. Zwymyślałem go i kategorycznie mu tego zabroniłem. Spojrzał na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział i wybiegł... - Joss zamilkł. Zbladł.

- Wiem - wyznała Lucy cicho. - Simon wrócił do Holy Lodge i powiedział mi, że zmieszałeś go z błotem. Na domiar złego przyłapał waszą pokojówkę Ednę na podsłuchiwanie. Biedny Simon, kompletnie nie wiedział, co robić, powtarzał mi tylko, żebym się nie martwiła, że weźmiemy ślub i że uzna dziecko za swoje, bez względu na to, kto jest ojcem.

- Bez względu na to, kto jest ojcem? - powtórzył Joss z niedowierzaniem.

Lucy spuściła wzrok i smutno kiwnęła głową.

- Nie powiedziałam mu, że to ty. Nie potrafiłam zniszczyć jego iluzji, jakiego ma wspaniałego brata.

- Ale dlaczego, do diabła, myślał, że dziecko nie jest jego?

- Bo Simon i ja nigdy nie byliśmy kochankami - powiedziała Lucy beznamiętnym tonem.

Joss zerwał się i stanął nad nią.

- Chcesz mi powiedzieć, że Tom zawdzięcza swoje istnienie tamtemu jednemu momentowi, kiedy... - usiadł z powrotem. Milcząco wpatrywał się w ogień na kominku.

Lucy przyglądała mu się z boku. Doskonale

wiedziała, że Joss cofa się myślą do... Zaciśnęła mocno dłonie, paznokcie wbiły się jej w ciało.

Było wtedy wyjątkowo gorące parne popołudnie, takie samo, jakich wiele owego lata, kiedy grywali z Simonem w tenisa na starym trawiastym korcie za domem. Z tą jednak różnicą, że po meczu Simon wymknął się na lotnisko, a ona skorzystała z zaproszenia, żeby przed powrotną jazdą do Holy Lodge, wziąć prysznic. Myślała, że nikogo nie ma i drzwi od łazienki zamknęła tylko na klamkę. Joss tymczasem siedział w swoim gabinecie. Pracował. Upał dawał mu się we znaki, więc w końcu postanowił się odświeżyć. I wtedy, w ostatnim miejscu, gdzie by się jej spodziewał, zobaczył Lucy Drummond. Nie wiadomo, które z nich było bardziej zaskoczone. Oboje zamarli. I właśnie w tym samym ułamku sekundy, kiedy Lucy sięgnęła po ręcznik, Joss chciał go jej podać. Gdyby nasze ręce się nie spotkały, myślała Lucy z rozpaczą, może nie doszłoby do niczego. Ale wystarczyło, że nasze dłonie się zetknęły i oboje straciliśmy głowy. Joss nogą zatrzasnął drzwi i z gardłowym jękiem przyciągnął ją do siebie. Jego spragnione usta szukały jej warg, jej wargi jego ust. W pewnej chwili Joss chciał ją odepchnąć, przywarła jednak kurczowo do niego. Wszystko skończyło się tak samo nagle i gwałtownie, jak się zaczęło. Ogarnął ich żal i poczucie winy. Lucy płakała.

- Po tym, co się stało, nie mogłem spojrzeć ci w twarz - powiedział Joss wciąż patrząc w ogień.

- Myślałem, że czujesz do mnie wstręt.

- A ja myślałam, że to ty czujesz wstręt do mnie

- odparła Lucy. Westchnęła. - Starałam się więc schodzić ci z oczu. Simon podejrzewał, że coś jest nie

w porządku, nalegał, żebym mu się zwierzyła. Kiedy się zorientowałam, że będę miała dziecko, byłam tak przerażona, że mu o tym powiedziałam. Ale o tobie nie wspomniałam ani słowa. Simon nie dopytywał się o szczegóły. Pobiegł do ciebie, a Edna, która wszystko słyszała, roztrąbiła wieści po okolicy. O mojej tajemnicy mówiło całe Abbotsbndge, z tym, że Edna przypisywała ojcostwo dziecka niewłaściwemu mężczyźnie. - Lucy przerwała i wzięła głęboki oddech. - Tego dnia Simon był tak zdruzgotany, że pojechałam z nim na lotnisko. Miał odbyć swój pierwszy samodzielny lot. To była moja wina, że się zabił. Nie mógł się skoncentrować, myślał o czym innym.

- Mylisz się, Lucy - Joss gwałtownie zwrócił się w jej stronę. - Jeśli ktoś jest winien jego śmierci, to ja. Moja wściekłość.

- Może tak mu było przeznaczone - powiedziała Lucy smutno.

- Może. - Joss spojrzał na nią pytająco. - Czy kiedy przyszedł do mnie tamtego dnia po śmierci Simona, miałaś zamiar powiedzieć mi prawdę?

- Tak. Miałam. - W jej oczach pojawił się gniew. - Niestety, ty nie chciałeś się niczego dowiedzieć.

Ich drugie brzemienne w skutki spotkanie było jeszcze mniej fortunne, niż pierwsze. Długo trwało, zanim Lucy zebrała się na odwagę, żeby zobaczyć się z Jossem. Kilkakrotnie jechała już nawet do Abbot's Wood, lecz zawsze, zanim dotarła do furtki, ogarniał ją taki strach, że zawracała do domu kompletnie zdesperowana i rozbita. Doszły ją jednak wieści o planowanej podróży Jossa i nie miała wyboru. Jeśli chciała teraz z nim porozmawiać, musiała się pośpieszyć.



Pani Benson skierowała ją do letniego domku, gdzie, jak wyjaśniła, od śmierci brata Joss spędzał większość czasu. Lucy przeszła przez ogród, minęła stary kort tenisowy i dotarła nad brzeg rzeki wyznaczającej granicę posiadłości. Joss leżał na leżaku, patrzył w dal, książka wysunęła mu się z ręki. Na jego widok opuściła ją odwaga. Uciekłaby jak najprędzej, ale w tym właśnie momencie trzasnęła gałązka pod jej stopą i Joss odwrócił się gwałtownie. Zerwał się na równe nogi.

- Witam, panno Drummond. - Lucy złękła się jego zimnych, gniewnych oczu. - Czym mogę służyć?

- przybrał ironiczny ton.

- Słyszałam że wyjeżdżasz - wyszeptwała.

- I przyszłaś życzyć mi dobrej drogi? Jak miło z twojej strony.

- Nie dlatego przyszłam. - Jak mu o tym powiedzieć? myślała zrozpaczona. - Widzisz, mam... mam pewien kłopot.

- Masz kłopot! - roześmiał się nieprzyjemnie.

- Wszyscy mamy. Ale mów. Jeśli trapią cię wyrzuty sumienia, przynajmniej to nas łączy.

Nie znajdowała słów, żeby mu odpowiedzieć, iż łączy ich jeszcze coś więcej. To było ponad jej siły. Poczowała, jak dłonie się jej poca. Wytarła je o uda. Mężczyzna, którego widziała przed sobą, był kimś obcym. Nie miał nic wspólnego z owym *namiętym* kochankiem równie jak ona bezsilnym wobec zrządzenia losu.

- Spodziewam się dziecka - powiedziała w końcu śmiało.

- Wiem o tym. Simon mi powiedział. - Joss spojrział jej prosto w oczy. Oddychał szybko, zobaczyła żyły

występujące mu na skroniach. - A teraz, jak przypuszczam, przyszedł winić Simona. Wolnego, moja panno. Simon nie żyje. Nie może się bronić. Za to ja mogę. Jaki masz dowód na to, że Simon jest ojcem? No? Mów! - Joss chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

W tym momencie coś umarło w sercu Lucy, coś nowego się narodziło - niepokohamowana duma. Podniosła głowę i spojrzała Jossowi prosto w twarz.

- Zabierz ręce - powiedziała spokojnie i z godnością. Joss cofnął się odrobinę zażenowany. - Nie mam, rzecz jasna, żadnego dowodu. Nie pomyślałam, że mi będzie potrzebny.

- Ale o pieniądzech pomyślałaś. O pieniądzach Woodbridge'ów.

- O tym też nie. - Lucy miała wrażenie, że od momentu przyjazdu tutaj postarzała się o sto lat. - Szukałam pocieszenia, współczucia, zresztą nie wiem czego. Wiem za to, że zgłosiłam się pod niewłaściwy adres. Żegnaj, Joss. Już nigdy o nic cię nie poproszę.

- Lucy! Zaczekaj...

Lucy pędziła po swój rower, jak oszalała. Żeby tylko dalej od Abbot's Wood.

Nagle wróciła do rzeczywistości. Zobaczyła, że Joss wciąż czeka na odpowiedź.

- Zamierzałam powiedzieć ci prawdę, ale podejrzenie, że to Simon jest ojcem, doprowadzało cię do *furii*. Uniemożliwiłeś mi wyznanie, że to z tobą jestem w ciąży. Pomyślałbyś, że chcę wykorzystać sytuację, prawda? Że zamiast biednego nieżyjącego Simona chcę złapać w sidła bogatego, cieszącego się dobrym zdrowiem Jossa. Ale nie. Co sił w nogach pedałowalam do Abbot's Wood. Pojechałam prosto do Cassie Page i wszystko jej opowiedziałam. O tym, kto jest ojcem,

ani wówczas, ani nigdy potem, nie pisnęłam słówka. To Edna Baker rozsiewała plotki.

- Ale na miłość boską dlaczego później mi nie powiedziałaś? Przecież zaraz się opamiętałem i przybiegłem do Holy Lodge błagać, żebyś za mnie wyszła. Powiedzieć ci, że zastąpię twojemu dziecku ojca... powiedzieć cokolwiek, byleś stała się moja.

- Po to przyjechałaś? - Lucy była śmiertelnie blada.

- Myślałam, że chcesz mi zaproponować pieniądze.

Joss wzdrygnął się.

- Dlatego zatrzasnęłaś mi drzwi przed nosem?

- Wmówiłam sobie, że cię nienawidzę.

- I miałaś powody. Nie mniejsze niż ja sam - dodał - Wyras przerażenia na twojej twarzy prześladował mnie. Czułem się jak morderca. - Joss wstał. - Niewiarygodne - powiedział. - Na klęczkach chciałem błagać cię o przebaczenie, a równocześnie ogarnia mnie żal, że zmarnowaliśmy tyle czasu.

- To cię tak złości, Joss? Gniewasz się, że na dziesięć lat pozbawiłam cię Toma?

- To także - Joss przyglądał się badawczo jej obojętnej minie. - Karą objęłaś nas wszystkich - rzekł.

- Zatajając fakt, kto spłodził Toma, nie tylko pozbawiłaś chłopca ojca, ale także samą siebie męża, a mnie żony.

- Skąd mogłam wiedzieć, jakie naprawdę są twoje uczucia? - broniła się. - Dla mnie byłeś rycerzem w srebrnej zbroi, rycerzem bez skazy, który napełniał mnie lekkiem. Twoje słowa śmiertelnie mnie przerażyły.

Zapanowała cisza. Lucy w zamyśleniu obracała ślubną obrączkę na palcu. Po chwili spojrzała na Jossa i z dziwnym, smutnym uśmiechem na twarzy odezwała się:

- W końcu jednak wzięliśmy ślub. Gdyby to była bajka, żylibyśmy długo i szczęśliwie.

- Mogliśmy zacząć o wiele wcześniej - Joss pochylił się nad nią, wziął Lucy za ramiona i podniósł z fotela. Ich oczy spotkały się. Lucy nie odwróciła wzroku.

- Nie da się cofnąć zegara - odparła. - Mamy chwilę obecną i to, co los nam zgotował na przyszłość. Bardzo się na mnie gniewasz?

- Nie mam prawa się gniewać. - Widziała, że kąciki jego ust drżały. - Ale nie mogę przestać myśleć o tych dziesięciu latach.

- Nam z Tomem też nie było łatwo!

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. - Joss ścisnął ją za ramiona aż do bólu. - Ale to była twoja decyzja.

- Jesteś niesprawiedliwy! W największych nawet marzeniach nie przypuszczałam, że zechcesz... - coś w jego oczach zmusiło ją, żeby zamilkła.

- Że zechcę Toma - zapytał aksamitnym głosem - czy ciebie?

- Bardziej Toma, niż jego niezamężną matkę!

- Chciała go zranić, chciała, żeby poznał ból, podobny do tego, jaki sam jej zadał.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Joss cicho.

- O co ci chodzi? - spojrzała na niego przerażona. Zrobimy?

- Nadal chcesz być moją żoną?

- Nie, jeśli taka jest twoja wola - odpowiedziała nie swoim głosem. Czuła, jak krew tężeje w jej żyłach. Patrzyła na Jossa. Jakże by chciała wejrzeć w jego myśli! Joss jednak przymknął powieki, a jego twarz wyglądała jak rzeźbiona w drewnie.

- Separacja byłaby dla Toma ogromnym wstrząsem,

nie sądzisz? - odezwał się Joss odwracając wzrok. Lucy opadła na fotel. Przez chwilę w ogóle nie myślała o Tomie.

- Masz rację. - Zawahała się. - Chciałbyś, żebym mu powiedziała, kto jest jego ojcem?

- Nie mam prawa tego od ciebie żądać. Poza tym nie wiadomo, jak on to przyjmie. Może będzie chciał wiedzieć dlaczego, do cholery, zostawiłem was samych na te wszystkie lata. Nie bardzo wiem, jak chłopcu w jego wieku wytłumaczyć, że są momenty kiedy dojrzały mężczyzna potrafi zachować się jak szaleniec.

- Mogłabym wziąć winę na siebie.

- Nie zawsze postępowałem jak należy, to prawda, ale nie mam zamiaru zasłaniać się tobą i uchylać się od odpowiedzialności za zaistniałą sytuację.

- Zostawmy więc tę kwestię na później. - Lucy ogarnęło nagle straszliwe przygnębienie. Mylił się ten, kto twierdził, że spowiedź przynosi ulgę duszy.

- Sposobność sama się kiedyś nadarzy, jeśli... jeśli będziemy się zachowywać, jakby się nic nie stało. Czy tego chcesz?

- Chcę o wiele, wiele więcej, ale na razie i tyle wystarczy.

- Czuję się zmęczona. Chyba się położę. - Po jej słowach zapadła nieprzyjemna cisza.

- Może lepiej prześpię się dziś w garderobie - zaproponował Joss beznamiętnym głosem.

- Jeśli tak chcesz.

Lucy powoli zbliżyła się do drzwi, które Joss dla niej otworzył. Mijając go uśmiechnęła się z przymusem. Była u kresu sił. Wolno szła po schodach na górę i dalej korytarzem do drzwi sypialni. Tutaj nareszcie mogła oddać się rozpacz. Nie płakała jednak, leżała

tylko z twarzą wciśniętą w poduszki, aż w końcu w obawie, że Joss może wejść i zobaczyć jej ból, wstała i zaczęła szycować się do snu. Zasnąć jednak nie mogła. W szerokim podwójnym łożu, w którym podczas swojego krótkiego małżeństwa doświadczyła tyle rozkoszy, czuła się straszliwie samotna. Gdzieś w środku nocy usłyszała, jak Joss wchodzi do pokoju obok. Z odgłosów obijania się o meble wywnioskowała, że szuka ukojenia w butelce. Może powinna zrobić to samo? Potem usłyszała, jak Joss przewraca się z boku na bok na wąskiej kozetce. Nie mógł zasnąć. Alkohol widać też nie był dobrym lekarstwem na zmartwienia.

Następnego ranka przy śniadaniu, dzięki wesołemu towarzystwu Toma, udało im się ukryć chłodny nastrój, jaki zapanował między nimi. Chłopiec czuł się lepiej i z pomocą laski, sprokurowanej przez niezawodnego Bensaona, mógł kuśtykać po domu. Nie chcąc, żeby forsował nogę, Joss zaproponował grę w szachy. Lucy, pod pretekstem, że musi spakować ubranie Toma przed jego powrotem do szkoły, a naprawdę dlatego, żeby schować swą zbyt wyrazistą twarz przed badawczym spojrzeniem męża, oddaliła się. Ta noc była koszmarem nie do zniesienia. Ile razy chciała się zerwać, pobiec do garderoby i błagać Jossa, by wrócił, gdzie jego miejsce, powstrzymywała się jednak. Widząc rano jego podkrążone oczy, domyśliła się, że też nie zasnął ani na chwilę. Tom rzucał im ukradkiem ciekawe spojrzenia, jak gdyby podejrzewając, że coś między nimi zaszło, ale nic na ten temat nie powiedział. Przed odjazdem zjadł olbrzymi lunch, a kiedy podskakując na jednej nodze poszedł do kuchni pożegnać się z Bensonami, Lucy i Joss zostali tylko we dwoje.

- Bardzo mało zjadłaś - zauważył Joss.

- Nie jestem głodna. Niezbyt dobrze się czuję. Obawiam się jakiejś infekcji. - Głowa ją bolała, była rozpalona, mdliło ją. Portugalska opalenizna już znikła i Lucy wiedziała, że musi wyglądać okropnie. Pod oczami miała sińce takie same jak Joss.

- Jeśli źle się czujesz - powiedział Joss zaniepokojony - połóż się i odpocznij. Sam mogę odwiedzić Toma. Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

O to się nie bała. Nie ulegało wątpliwości, że od kiedy Joss wkroczył w ich życie, matka chwilowo przestała się liczyć. Myśl, że niedawno odnalezione szczęście jej dziecka mogłoby zostać zniweczone, była dla Lucy nie do zniesienia. Koniecznie musimy dojść do porozumienia, postanowiła.

- Dziękuję. Rzeczywiście czuję się nieszczególnie. - uśmiechnęła się do Jossa z wdzięcznością. - Może uda mi się też popracować trochę nad rachunkami.

Joss uniósł brwi.

- Nie chciałbym się wtrącać, myślę jednak, że raczej powinnaś odpocząć. - A zwracając się do Toma, który akurat nadszedł, dodał: - Świetnie. Ruszajmy, jeśli chcemy zdążyć na nabożeństwo. Mama zostaje, źle się czuje.

Tom niezbyt się zmartwił. Lucy uśmieła się widząc, że najważniejsze dla niego okazało się wielkie pudło smakołyków przygotowane przez panią Benson.

Jak szybko dzieci przyzwyczajają się do nowych warunków, myślała, machając im na pożegnanie. Nie tak dawno temu ja byłam jedyną ostoją w jego życiu. Teraz ma ten dom, poczucie bezpieczeństwa i... i Jossa. Zrobię wszystko, żeby tego nie stracił. Westchnęła.

- Położę się na trochę - powiedziała do pani Benson wtykając głowę do kuchni.

- Bardzo rozsądnie - odpowiedziała gospodyni, słysząc jej suchy kaszel. - Naprawdę nie wygląda panienka dobrze. Moja kochana, muszę się przyzwyczaić mówić do ciebie „pani Woodbridge”.

- Nie, proszę, nie trzeba - prosiła Lucy i ponownie zanosła się kaszlem. Przeraził ją ostry palący ból w boku.

Pani Benson zaprowadziła ją na górę i posłała łóżko. Jak cudownie móc się położyć! Lucy była tak zmęczona, że pragnęła jedynie zamknąć oczy i zapomnieć o gwałtownych emocjach wczorajszej nocy. Gdyby tylko minął ten paskudny ból. Straszliwy. Jakaś olbrzymia ręka miażdżyła jej żebra. Mam chyba zawał, pomyślała wpadając w panikę. Nigdy już nie zobaczę ani Toma, ani Jossa. Powinnam była błagać, żeby wczoraj tu spał. Może nigdy już nie będziemy dzielić tego łóżka. Boże! Żeby on tu był! Teraz, zaraz!

Kiedy pani Benson po kilku minutach wróciła niosąc coś ciepłego do wypicia, wystarczyło jej jedno spojrzenie na błyszczące oczy i rumieńce chorej. Bezwłocznie zadzwoniła po doktora.

- Nie potrzebuję lekarza - irytowała się Lucy.  
- Chcę Jossa.

- Dobrze, kochanie - uspokajała ją gospodyni.  
- Zaraz tu będzie, zobaczysz.

Kiedy Joss nadjechał, lekarz właśnie badał Lucy. Joss wbiegł na górę, przeskakując po kilka schodów na raz i wpadł do sypialni.

- Lucy... - Spojrzył z niepokojem na lekarza, który badał jej puls. - Doktorze, co jest mojej żonie?

- Zapalenie opłucnej.

- Tylko zapalenie opłucnej? - upewniała się Lucy. Próbowała się uśmiechnąć.



- Tylko! - odpowiedział doktor Manners i dodał zamykając torbę: - Pańska żona bała się, że to zawał.

Joss usiadł ciężko na brzegu łóżka jak porażony. Wziął Lucy za rękę i powiedział ochryłym głosem:

- Na pewno skutki odżywiania się samą fasolą i grahamem.

- Wręcz przeciwnie. - Doktor Manners zrobił zdziwioną minę. - Taka dieta jest bardzo zdrowa. Choroba pańskiej żony wynika najprawdopodobniej z przepracowania i długotrwałego napięcia nerwowego. Organizm zaprotestował. Ale proszę się nie martwić. Za kilka tygodni wróci do siebie.

Lucy jakby zabrakło powietrza. Zaczęła kasłać, chwyciła się za bok. Joss zbladł.

- Co ze sklepem? - spytała, kiedy już mogła mówić.

Odpowiedź Jossa była krótka i niesalonowa. Doktor Manners, chichocząc, poparł go.

- Słusznie. Niech pan się sam tą sprawą zajmie, a ja tymczasem przyślę lekarstwa.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rekonwalescencja trwała dłużej niż się spodziewano. Lucy, chociaż tak bardzo pragnęła szybkiego powrotu do zdrowia, sama sobie szkodziła ustawicznym zamartwianiem się, że jej choroba wypadła w tak nieodpowiedniej chwili.

- Lucy - upominał ją wciąż Joss - przestaniesz wreszcie zadrećcać się na śmierć? Perdy doskonale dają sobie radę w sklepie. Tom jest w internacie, o co więc chodzi?

Nie potrafiła się zdobyć na to, żeby mu powiedzieć. Bez przerwy myślała o dziwnym stanie zawieszenia, jaki zapanował w ich wzajemnych stosunkach. Złożyło się na to wiele czynników, z których może najważniejszym było wyraźne zalecenie doktora Mannersa: przede wszystkim sen, dużo snu i czasowa wstrzeźliwość w sprawach seksu. Joss więc nadal sypiał na wąskiej kozetce w garderobie, a ona samotnie spędzała noce, przewracając się z boku na bok w ich podwójnym łóżu.

Lucy czuła się w tym małżeństwie jak ktoś, kto szuka drogi przez pole minowe. Tyle było niedomówień, tłumionych uczuć, fizycznej tęsknoty, której nie osłabiła choroba. Co przeżywał Joss, nie miała pojęcia. Jeśli odczuwał to samo, co ona, nie okazywał tego, pochłonięty pracą nad książką o wyspach Fidzi. Gdy skończył, pojechał do Londynu zobaczyć się z wydaw-

ca. Odwiedził też swojego agenta. Wrócił zmartwiony. Lucy odpoczywała właśnie na leżaku przed domem, zła na siebie za to, że wyrwanie kilku chwastów tak ją wyczerpało. Rozpromieniła się na widok męża. Joss zdjął marynarkę i z ciężkim westchnieniem usiadł obok niej na trawie.

- Masz jakieś kłopoty? - spytała. - Po twojej minie widać, że coś jest nie tak.

- Lucy. Jak się czujesz? Powiedz prawdę.

- O wiele lepiej. Trochę się męczę, jeśli, na przykład popieleń dłużej, albo zrobię coś w tym rodzaju, ale ból już minął. Dlaczego pytasz?

- Już wkrótce powinienem wyjechać do Brazylii, nie chciałbym jednak zostawiać cię w takim stanie. Same oczy i..."

- Nos? - dodała śmiejąc się.

- Wcale nie. - Joss łagodnie pogładził palcem wspomniany organ. - Kości policzkowe.

Myśl, że Jossa nie będzie, przeszła Lucy bólem ostrzejszym niż niedawny kaszel. Uśmiechnęła się mimo to i zapewniła go, że jest w dobrej formie.

- Tylko nie wyjeżdż, przed meczem krykietowym Toma. Poza tym nie ma żadnych innych przeciwwskazań - powiedziała.

Joss przyglądał się jej poważnie.

- Gdyby ta podróż nie była przygotowywana już od tak dawna, nawet by mi do głowy nie przyszło jechać.

- Ależ musisz. A kiedy wrócisz, będę zdrowa jak ryba, obiecuję.

W ciągu następnych dni Lucy starała się zachować wesołą twarz i pogodny nastrój, ale kosztowało ją to wiele wysiłku. Pojechała nawet z Jossem do szkoły

Toma na najważniejszy mecz krykieta i po raz pierwszy od powrotu z Portugalii dała się zaprosić na obiad do restauracji. Joss jednak nie zrobił żadnej wzmianki na temat ich intymnych stosunków. Kiedy ostatecznie pomachała mu ręką na pożegnanie, ogarnęło ją uczucie strasznej samotności.

- Uważam, że doktor Manners powinien znowu rzucić na ciebie okiem, moja kochana - oświadczyła tego wieczoru pani Benson na widok nietkniętego jedzenia. - Ostatni raz badał cię tydzień, dwa tygodnie temu?

Lucy nawet nie chciała słyszeć o wzywaniu doktora do domu. Postanowiła zwyczajnie zamówić wizytę, a potem wstąpić do sklepu, zobaczyć jak Perdy daje sobie radę.

- Kiepsko wyglądasz - powitała ją przyjaciółka.  
- Siadaj, na miłość boską. Zrobię ci herbaty.

Lucy usiadła na dobrze znanym szesławgu i czekając, aż woda się zagotuje, rozglądała się wokół. Sklep robił korzystne wrażenie. Za zgodą Lucy, Perdy wystawiła tu niektóre ze swoich prac. Jej ceramika ozdabiała stół kredensowy na wystawie, a w głębi, gdzie nie dochodziło zbyt ostre światło, wisiła grupa akwreli przedstawiających widoki okolicy. Pod nimi Lucy dostrzegła główkę chłopca, rzadki przykład zainteresowania artystki ludzkim modelem.

- Obiecałaś mi to sprzedać - przypomniała Lucy.  
- Drugi raz Tom nie usiedzi tak spokojnie.

- W porządku. Napiszę „sprzedane”. - Perdy podała jej kubek. - Powiesiłam też kilka obrazów Paula. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Lucy nie miała nic przeciwko temu. Akwarele były bardzo dobre. Paul tworzył nastrojowe studia natury:

zagajnik, podmyty brzeg rzeki. Jego malarstwo przypadło Lucy do gustu.

- Paul ma duży talent - skomentowała.

- Tak - zgodziła się Perdy - i to nie tylko do pędzla. Och Lucy! Zarumieniłaś się. No wiesz, taka doświadczona mężatka - zażartowała, ale zaraz zapytała już serio: - Jak się czujesz?

- Po pierwsze oszołomiona. Doktor Manners poinformował mnie właśnie, że jestem w ciąży. - Lucy roześmiała się, widząc zdumioną minę przyjaciółki.

- Wszystko zwałałam na zapalenie opłucnej, a tu się okazuje, że nowy Woodbridge jest w drodze.

- Gratulacje. Cieszysz się?

- Tak. Chyba tak.

- Nie wiesz?

- Cóż - *Lucy zrobiła nieokreślony gest ręką.* Stwarza to pewne komplikacje. Weźmy sklep.

Perdy podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Następnie odwróciła do szyby wywieszkę z napisem „Zamknięte” i powiedziała:

- Chodźmy do biura, Lucy. Mam dla ciebie propozycję.

Lucy wracała do Abbot's Wood z lżejszym sercem. Jej choroba nie była wcale chorobą, a obietnicą obdarzenia Jossa kolejnym synem. Co więcej, Perdy i jej przyjaciel, Paul, chcieliby przejąć sklep i częściowo zmienić go na galerię, gdzie wystawiali by własne prace.

Lucy zaraz napisała obszerny list do Jossa i wysłała, zgodnie z instrukcją, na poste restante. Opisała wszystkie nowiny, wielokrotnie podkreślając radość z oczekiwanego dziecka. „Tym razem, przynajmniej, nasze dziecko przyjdzie na świat jak pan Bóg przykazał. W następnym liście dam ci znać, jak zareagował Tom”.

Bensonowie byli uradowani. Robili wokół niej tyle zamieszania i tak jej we wszystkim dogadzali, że błagała o litość i trochę spokoju. Lucy niecierpliwie czekała na odpowiedź Jossa. Poza krótkim telefonem z Rio, zaraz po przyjeździe, i paroma kartkami wysłanymi z trasy, nie miała od niego żadnych więcej wiadomości.

- Pamiętasz, co powiedział Bannister? - przypomniał Tom, który ku jej ogromnej uldze, oszalał z radości.  
- Jak myślisz, to będzie chłopiec?

Lucy wytłumaczyła mu, że nie ma wpływu na płęć dziecka. Tom obiecał pogodzić się z faktem, jeśli urodzi się dziewczynka, ale wolałby brata, gdyby mogła się o to postarać. Wciąż nie było wiadomo, co Joss myśli na ten temat, a w ostatnim swoim liście napisał, że żadne wieści od niej do niego nie dotarły. Z każdego słowa wyzierał niepokój o jej zdrowie a Lucy ze swej strony martwiła się o niego. Tęskniła za mężem i w kolejnych listach powtarzała nowiny, na wypadek, gdyby korespondencja gdzieś się zawie-ruszyła.

Podczas letnich wakacji Lucy zabrała Toma na kilka tygodni do Kornwalii. Rozkoszowała się pobytem w wygodnym hotelu, przedtem zawsze zatrzymywali się na kempingach. Tom też bawił się dobrze, trochę jednak żałował, że Joss nie mógł z nimi pojechać.

- Kiedy wróci, wybierzemy się gdzieś wszyscy razem - obiecywała.

Dni mijały, wieści od Jossa nie było. Co wieczór telefonowała do Bensonów, ale listy z Brazylii nie nadchodziły. Cieszyła się więc trochę z powrotu do Abbot's Wood. W zupełnie irracjonalny sposób czuła, że tam będzie bliżej Jossa. W chwili gdy ujrzała

Bensona czekającego na nich na stacji, lęk ścisnął jej serce.

- Są jakieś wieści? - spytał Tom.

- Witamy, panno Lucy. Jak się masz, chłopcze - odpowiedział Benson z wahaniem w głosie. Wziął dwie walizki. Tom niósł swoją. - Wsiądźmy wpierw do samochodu.

Wpierw. Lucy zrobiło się słabo. Przełknęła ślinę. Poczowała wyraźne kopnięcie w podbrzuszu. To mały Woodbridge dawał o sobie znać.

- Czy coś się stało, Benson? - spytała z naleganiem w głosie, kiedy tylko znaleźli się w aucie.

- Dzwonił pan Shelton, agent pana Jossa. Wygląda na to, że sportowy samolot, którym pan Joss podróżował, zaginął. Ambasada brytyjska w Rio zawiadomiła ich biuro. Pan Shelton obiecał być z nami w stałym kontakcie.

- Nie martw się mamo. - Tom, bardzo blady, uściśnął jej rękę. - Jossowi nic się nie stanie. Na pewno musieli gdzieś awaryjnie wylądować. A teraz przedzierają się przez dżunglę.

Lucy uśmiechnęła się wbrew woli. Nie miała serca powiedzieć chłopcu, że Joss nie jest Supermanem. Dla niego był.

- *Masz rację - powiedziała głosem tak opanowanym, że ją samą to zdziwiło.* - Może, zanim dotrzemy do domu, będą już jakieś nowe wiadomości.

I Lewis Shelton, i przedstawiciel ambasady dzwoniли do niej jeszcze tego samego wieczoru. Potwierdzili jednak tylko to, co już wiedziała. Obaj współczuli jej i obiecali, że zawiadomiją o każdej nowej informacji.

- Czy mógłbym ci w czymś pomóc, Lucy? - dopyt-

tywał się bardzo przejęty Shelton. - Nie krępuj się. Powiedz.

Lucy podziękowała mu. Nikt w niczym nie mógł jej pomóc, tylko Joss. Błąka się gdzieś w gęstych lasach dorzecza Amazonki, ale żyje. Uczepiła się tej wersji. Nawet przez jedno mgnienie nie pomyślała, że mogła by go stracić na zawsze.

Tom nie odstępował jej ani na chwilę. Siedząc na sofie wtulił się w nią, jakby jej bliskość działała na niego kojąco. Ona również potrzebowała ciepła jego ręki w swojej dłoni i nawet niechętnie posłała go w końcu do łóżka. Pani Benson, na której twarzy malowała się troska, przyniosła jej szklankę ciepłego mleka, żeby mogła zasnąć. Nie chcąc robić przykrości gospodyni Lucy wypiła mleko, wątpiła jednak, czy w ogóle zazna snu, dopóki się nie dowie, że Joss jest zdrowy i cały.

Powoli mijał dzień za dniem. Żadnych nowych wiadomości nie było. Z początku Tom trzymał się kurczowo jej boku pewny, że telefon zaraz zadzwoni. Ale kiedy dzwonił, okazywało się, że to agent Jossa albo jego wydawca. Obaj wciąż zapewniali Lucy, że robi się wszystko, co w ludzkiej mocy, by odnaleźć jej męża, że piloci brazylijscy należą do światowej czołówki i że *ich misja się powiedzie. Lucy słuchała cierpliwie* i dziękowała za wszystko, zapewniała ich, że czuje się dobrze i nigdy nie zdradziła się, że w jej głowie rozbrzmiewa krzyk: chcę Jossa, dlaczego nie poruszycie nieba i ziemi, żeby go znaleźć!

Po pewnym czasie Tom znowu zaczął chodzić na ryby w towarzystwie Bena Todda, który prawie zamieszkał w Abbot's Wood. Lucy cieszyła się z tego, ponieważ mogła popłakać w samotności. Przy chłopcu



nigdy sobie na to nie pozwoliła. Cięża stawała się coraz bardziej widoczna, a dziecko, z początku bardzo spokojne, kopało, jakby chcąc nadrobić zaległości. Perdy, która zaglądała do niej prawie co wieczór po zamknięciu sklepu oświadczyła:

- To znaczy, że Joss wróci.

Lucy kiwnęła głową.

- Gdybym w to nie wierzyła, oszalałabym - wyznała. - A to - dodała gładząc brzuch - nie wyszłoby maleństwu na dobre, prawda?

Pocieszając wciąż Toma i Bensonów, Lucy sama nabierała większej nadziei. Powtarzanie sobie, że Joss gdzieś tam żyje, pomagało jej przetrwać do następnego dnia. Gdyby umarł, wiedziałyby o tym. Tylko dzięki temu przeświadczeniu nie załamała się kompletnie. Żadnych wieści, a Tom już wkrótce wyjedzie do szkoły... Ze względu na niego, to oczywiście dobrze. Lepiej się będzie czuł w towarzystwie kolegów, niż próbując zachowywać się jak dorosły mężczyzna i być pomocą i ostoją dla matki.

Ku własnemu zaskoczeniu, mimo że żyła w ustawicznym stresie, w drugiej połowie ciąży czuła się znakomicie. Wytrwale jadła i piła wszystko, co doktor Manners jej zalecił, gimnastykowała się i pracowała w ogrodzie, pomagała pani Benson prowadzić dom. Robiła na drutach, czytała, raz zjadła obiad z Perdy i Paulem. Każdego wieczoru modliła się o bezpieczny powrót Jossa i regularnie chodziła do kościoła, chociaż musiała wówczas znosić współczujące pytania mieszkańców Abbotsbridge. Niedzielne nabożeństwo działało na nią kojąco.

Jesień tego roku wydawała się wyjątkowo piękna. Ale listopadowy dzień, w którym otrzymała wiado-

mość, był zasnuty mgłą. Odnaleziono samolot i ciało. Po tylu miesiącach w dżungli identyfikacja zwłok była trudna, uznano jednak, że to Joss.

Lucy odłożyła słuchawkę jak w transie. Dostrzegła przy sobie obojga Bensonów, których zboliałe twarze stanowiły odbicie jej własnej. Jej umysł buntował się, nie wierzył, że Joss nie żyje. A jednak to musi być prawda, bo sama myśl o jego śmierci przeszywała ją bólem. Oddychała z trudem. Pani Benson otoczyła ją ramionami i łagodnie kołyszając uspokajała przez łzy.

- To nieprawda - szlochała Lucy. - To niemożliwe. Tak bardzo go kocham... - głos przeszedł w jęk. Ponownie chwycił ją ból.

- Co się stało? - wykrzyknęła przerażona gospodyni.
- Chyba rodzę!

Zapanowało istne pandemonium. Pani Benson pobiegła spakować torbę, jej mąż telefonował do szpitala. Za chwilę już Lucy leżała na sali porodowej, usiłując pogodzić się z faktem, że dziecko postanowiło przyjść na świat o wiele za wcześnie. Starła się robić, co jej kazano, poród jednak był ciężki i w końcu krzykiem zaczęła wzywać Jossa. A potem nagle było już po wszystkim.

- Nic mu nie jest? - dopytywała się przestraszona.
- Musi spędzić kilka tygodni w inkubatorze, bo to maleństwo. - Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej chcąc jej dodać otuchy. - Ale nic mu nie brakuje. Jest tylko pewien szkopał. To nie on to ona!

Lucy wpatrywała się w dziewczynę w osłupieniu.

- Tatuś się rozczaruje?
- Nie. On...On... - Lucy nie mogła dalej mówić. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Szlochała tak bardzo, że w końcu dano jej proszek nasenny, by

odpoczęła po cierpieniach, fizycznych i duchowych, jakich doznała w ciągu ostatnich kilku godzin.

W sobotę, kiedy Lucy przywiozła córeczkę do domu, Toma zwolniono ze szkoły. Mimo że urodziła się przed terminem, panna Woodbridge krótko przebywała w inkubatorze i szybko oddano ją matce.

- Ale mała - wyszeptał onieśmielony Tom, kiedy maleńka piąstka zacisnęła się wokół jego palca. - Za to gardło ma mocne - dodał, słysząc, jak siostra domaga się jedzenia.

- Tak - zgodziła się Lucy podając niemowlęciu butelkę. - U ciebie synku wszystko dobrze? - spytała.

Tom kiwnął obojętnie głową.

- W porządku - powiedział. Ich oczy spotkały się. Lucy poczuła, że serce się jej ściska. - Może to była pomyłka, mamó - dodał. - Może to wcale nie Joss.

Lucy z trudem przełknęła ślinę. Tom powiedział na głos to, co sama czuła, nieludzkie byłoby jednak podtrzymywanie fałszywych nadziei w sercu chłopca.

- Powinniśmy zacząć się przyzwyczajać do tej myśli, synku, że znowu jest nas dwoje, z tą różnicą, że teraz mamy to zawiniątko, którym musimy się opiekować - powiedziała.

- Mammy też Bensonów - dodał Tom, najwyraźniej starając się ją pocieszyć - no i mieszkamy tutaj. A to znaczy, że ty nie musisz pracować.

- Tak kochanie. Możemy korzystać z tego, co Joss nam... - zająknęła się. - Joss nie chciałby, żeby było nam ciężko - dokończyła.

Tom kiwnął głową wyraźnie wzruszony. Pociągnął nosem i odezwał się:

- Szkoda jednak, że nie mógł spędzić razem z nami chociaż jednej gwiazdki.

Tom przyjechał na ferie świąteczne poważniejszy niż zazwyczaj, ale, stwierdziła Lucy w duchu, robił wrażenie jakby pogodzonego z losem. Ku jej ogromnej radości od razu oszalał na punkcie swojej małej siostry.

- Budzi cię w nocy? - zapytał - wyglądasz na zmęczoną.

- Już teraz nie - uśmiechnęła się Lucy. - Ale, ale, nie zdążyłam jeszcze usprawiedliwić się przed tobą, że to nie braciszek.

- Nieważne. Poza tym, to przecież nie twoja wina.

- To wielce wspaniałomyślne z twojej strony - podziękowała mu.

- Tak naprawdę winien jest Joss - oświadczył Tom. Lucy zachłysnęła się herbatą.

- To nie jest niczyja wina, synku.

- Wiem. Chciałem tylko powiedzieć, że to mężczyzna decyduje o płci - poinformował ją Tom uprzejmie.

Święta zbliżały się szybko i w pewnym sensie Lucy cieszyła się z tego. I zakupy, i przygotowania do obiadu, na który zaprosiła Perdy i Paula, i dziecko, wszystko to razem sprawiło, że czuła się bardziej zmęczona i w efekcie lepiej ostatnio sypiała. W wigilię wstała wcześniej. Wykąpała i nakarmiła małą tak, żeby oddać ją pod opiekę Bensonów, a sama móc w spokoju zjeść śniadanie z Tomem. Przy stole chłopiec zaczął wyliczać, co już zostało załatwione:

- Choinka jest, prezenty zapakowane. Aha, mam, przygotowałaś pończochę dla małej?

Lucy zapewniła go, że jeśli o nią chodzi, niczego nie zapomniła.

- Mam dzisiaj zamiar odpocząć - powiedziała

- na tyle, na ile mała mi pozwoli, bo jutro będę musiała pomóc pani Benson w kuchni. Nie mogę zwalić całej roboty na nią.

Tom poszedł zobaczyć, jak Bensonowie dają sobie radę z jego siostrą, a Lucy skorzystała z chwili spokoju i nalała sobie drugą filiżankę kawy. Tak była pochłonięta poranną gazetą, że prawie nie zwróciła uwagi, kiedy zadzwonił dzwonek przy wejściu. Pewnie listonosz. Drzwi do pokoju otworzyły się, Lucy przekonana, że to Tom z naręczem świątecznych kartek odwróciła się i zadrżała. Joss. Zarośnięty, w za dużym obszarpanym ubraniu, ze zmęczoną twarzą i przekrwionymi oczami, a jednak on. Lucy krzyknęła nie swoim głosem, łzy popłynęły jej po policzkach. Rzuciła się w jego rozpostarte ramiona i ukryła twarz na jego piersi, obejmując go tak silnie, że słyszała walenie jego serca. Zaraz jednak podniosła głowę i wybuchnęła śmiechem. Ich oczy, ich usta spotkały się. Życie odzyskało sens.

- Dostałaś moją wiadomość? - wymamrotał Joss.

- Jaką wiadomość? - Nie dbała o wiadomości.

Joss był tu, w jej ramionach i tylko to się liczyło.

- Ktoś miał się wczoraj z tobą skontaktować

- wyjaśnił Joss między pocałunkami. Jego ręce wędrowały po jej ciele, przyciskały ją coraz mocniej.

- Telefon był zepsuty.

- Nadal jest. Próbowałem zadzwonić ze stacji.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Joss pocałował ją znowu. To było ważniejsze niż słowa. Odwzajemniła pieśszoty, gorąco, namiętnie. Żeby wiedział, jak za nim tęskniła i jak bardzo go pragnie.

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz - odezwała się w pewnej chwili.

- Żyję. Nie widzisz? - Joss ujął jej twarz w dłonie.  
- Nie miałem zamiaru uczynić cię wdową przed czasem. Wydobrażałaś już, moja droga?

Wydobrażałam? Lucy obdarzyła męża tak szelmowskim uśmiechem, że znowu przygarnął ją do siebie.

- O tak, już zupełnie doszłam do siebie, ale zanim to nastąpiło, przeżyłam kryzys. - Spoważniała. - Jak to się stało?

- Rozbiliśmy się. Potem wędrowaliśmy - odpowiedział Joss krótko. - Drugi pasażer samolotu zginął, ale pilot i ja ocaliliśmy. W końcu dotarłem do moich Indian na piechotę. Mieszkaliśmy z nimi, dopóki nas nie znaleziono.

- Tak po prostu? - Lucy pogładziła go po policzku.  
- Schudłeś, zmizerniałeś.

- Zbrzydłeś. To chciałaś powiedzieć?

- Jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie - oświadczyła. Dostrzegła, że twarz mu pociemniała. Zamknęła oczy, dała się objąć i pieścić. Drżała. Nagle usłyszeli pukanie. Na dźwięk głosu Toma, Joss odwrócił się gwałtownie ku drzwiom.

- Cześć, tato. Możemy wejść?

- Tom! - Joss podbiegł do niego chcąc go uściskać. Nagle stanął jak wryty widząc, że chłopiec bardzo ostrożnie niesie coś zawiniętego w kocyk. - Wielkie nieba! A to co takiego?

- Nie „co”, ale „kto”. - Tom spojrzał porozumiewawczo na Lucy. - Oto panna Oliwia Woodbridge - oświadczył uroczyście. - Obudź się, Liv - dodał drapiąc małą po brodzie. - Tam jest twój tata.

- Joss oczami wielkimi jak filiżanki wpatrywał się w niemowlę, które Tom wcisnął mu w rękę. Z niedowierzaniem przeniósł wzrok na Lucy.

- Urodziła się trochę za wcześnie, no i to nie chłopiec - odezwała się Lucy przepraszającym tonem - ale jest cała i nic jej nie brakuje...

- Szczególnie głosu - wtrącił Tom. - Narobiła tam w kuchni takiego wrzasku... Nie słyszeliście?

- Przyznam, że nie - odpowiedział Joss zafascynowany córką. - Zbyt byłem zajęty całowaniem twojej mamy.

- Tak myślałem - odparł Tom rzeczowo - dlatego trochę zaczekałem. Aha, pani Benson mówi, że pora ją karmić, mamó. - I jakby na dany sygnał Oliwia znowu zaczęła wrzeszczeć.

- Boże! - Joss patrzył na nich z przerażeniem - Nie stójcie tak! Zróbcie coś!

- Teraz chcesz pewnie być z mamą sam. Ale potem opowiesz mi wszystko, dobrze?

Joss oddał drące się w niebogłosy niemowlę Lucy, podszedł i objął chłopca.

- Oczywiście. Przepraszam, mowę mi odebrało *synu* na widok tej niespodzianki. - Przytulił i uścisnął *go*. - Wiesz co - powiedział po chwili - poproś panią *Benson*, żeby mi *usmażyła* wspaniałe angielskie jajka na bekonie. Ja też coś zjem.

Tom wybiegł ochoczo, a Joss pochylił się nad Lucy i córeczką.

- To cud - wyszeptał, przytulając policzek do włosów Lucy.

- To z jej powodu tak wolno dochodziłam do zdrowia. Och, Joss. Taka byłam szczęśliwa, że jestem w ciąży i taka nieszczęśliwa, że nie mogę podzielić się z tobą moją radością. - Nie mogła opanować łez, które spływały jej po policzkach i kapały na twarzyczkę Oliwii.

- Nie płacz, kochanie - uspokajał ją Joss całując łązy. - Serce mi się kraje, kiedy to słyszę. Przysięgam, że jeśli tylko to będzie w mojej mocy, już nigdy nie zostawię cię samej na dłużej niż pięć minut. Patrz w co się wplątałaś - dodał już ze śmiechem - kiedy cię nie pilnowałem.

- Nie dostałaś żadnego z moich listów?

- Nie. Pewnie cały ich plik czeka gdzieś na mnie. Później już ich nie szukałem. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do domu, więc wsiadłem w pierwszy samolot, jaki był. Mogłem może zatelefonować z Rio... - zawahał się. Lucy spojrzała na niego pytająco. - Ale widzisz, kiedy wyjeżdżałem, stosunki między nami były trochę napięte... - ciągnął. - I chciałem, zrozumiem, chciałem zrobić ci niespodziankę i sprawdzić, jak zareagujesz. Tak spontanicznie, bez przygotowania.

- Ach tak. I co, zadowolony jesteś?

- O tym, co zobaczyłem w twoich oczach, będę *śnił do końca życia*. - Objął ją i pocałował, aż w końcu mała Oliwia zaczęła głośno protestować. Roześmieli się, oboje bliscy płaczu z powodu tak cudownego pojednania.

Wtedy właśnie nadeszła pani Benson, niosąc tacę załadowaną wszystkim, czego mężczyzna może sobie tylko zażyczyć na śniadanie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki życie stało się znowu normalne. Joss jadł z apetytem opowiadając w skrócie o swoich przejściach. Lucy natomiast poinformowała go o tym, że sprzedała wszystkie antyki Perdy, która teraz wspólnie z Paulem prowadzi sklep. Uśmieli się potem szczerze, gdy Joss próbował przewinać Oliwię, a w końcu oddali małą pod opiekę gospodyni i wszyscy troje, Joss, Lucy i Tom, usiedli przy kominku, by wysłuchać



bardziej szczegółowej relacji o przygodach w zielonym piekle. Tom był bardzo przejęty.

- Co było najgorsze? - dopytywał się.

- Tuż przed wypadkiem - Joss spojrział na Lucy - pomyślałem, że może już nigdy nie zobaczę mojej żony i mojego syna. Kiedy się rozbiliśmy, i zrozumiałem, że odtąd zdany jestem na siebie, wiedziałem, że mi się uda. Kolega, który zginął, miał rozbity czaszkę. Za to pilot i ja wyszliśmy obronna ręką. Poza kilkoma siniakami nic się nam nie stało. Co prawda potem, omal nie umarliśmy z głodu i gorączki, ale natknęliśmy się na Indian Arani, którzy nas wyleczyli i nakarmili. Przeżyłem, żeby wam o tym opowiedzieć.

- Czy mógłbyś w przyszłości wybierać bardziej konwencjonalne trasy? - poprosiła Lucy, która słuchała tego wszystkiego ze zgrozą.

- Koniec z podróżami, Lucy. - Joss spoważniał.

- Od tej pory będę siedział w domu i pisał powieści.

- W prawdziwym życiu, jak się sami przekonaliśmy, zdarzają się historie, o których pisarzom się nawet nie śniło.

- To prawda - wtrącił Tom w taki sposób, że oboje rodzice spojrzeli na niego zdumieni. Chłopiec zaczerwienił się. - Słyszałem, o czym tamtej nocy rozmawialiście - wyjaśnił jękając się.

Joss i Lucy wymienili zdumione spojrzenia. Joss usiadł obok Toma na kanapie i spokojnie zapytał:

- Której nocy?

- Wtedy, kiedy się skaleczyłem w nogę. - Chłopiec zmieszany gryzł palec. - Pić mi się zachciało i zszedłem na dół. Kiedy przechodziłem obok gabinetu, usłyszałem, jak rozmawialiście o... o grupach krwi.

- Wszystko słyszałeś? - spytała Lucy blednąc.
- Tom potrząsnął głową.
- Tylko tyle, że to Joss jest moim ojcem, a nie Simon. Potem wróciłem na górę.
- Joss objął syna i zapytał:
  - Jak zareagowałeś na tę wiadomość?
  - Bardzo się ucieszyłem - odpowiedział Tom, ale zaraz coś go zastanowiło. - Ożeniłbyś się z mamą, gdyby ci od razu powiedziała?
  - Zawsze pragnąłem ożenić się z twoją mamą
- odparł Joss patrząc na Lucy.
  - I ja tak samo - wyznała i uśmiechnęła się. Jej spojrzenie było pełne czułości.
  - Będę się teraz nazywał Tom Woodbridge?
  - A chciałbyś - spytał Joss.
- Tomowi trudno się było zdecydować.
  - Może dziadek miałby coś przeciwko temu, jak myślisz, mammo?
  - Myślę, że byłby bardzo szczęśliwy - zapewniła go Lucy. - Dziadek uważał, że bardzo źle potraktowałam Jossa.
  - I miał rację - mruknął Joss pod nosem.
  - Wspaniale! - Tom roześmiał się. - Będzie prościej, kiedy pójde do nowej szkoły. Mam się teraz zająć małą? - zaproponował.
  - Tak, tak. - Lucy patrzyła na syna ciepło.
- Przeprowadź wózek i dajcie pani Benson trochę odpocząć w spokoju.
- Spokój jednak nie był im dany. Reporterzy z telewizji i gazet zwietrzyli nowiny i urządzili istny najazd na dom. Tom nie posiadał się z radości oglądając siebie w wieczornym dzienniku, który w bożonarodzeniowy wieczór poświęcił sporo miejsca tej wzruszającej historii.

Lucy i Joss zawołali Bensonów, by wspólnie oglądać program: wysoki, przystojny mężczyzna, jego rozpromieniona żona i syn, dumnie trzymający w objęciach wrzeszczące niemowlę, to oni.

- Zakończenie jak z bajki - mówiła ładna spikerka uśmiechając się do kamery - które zdarzyło się naprawdę.

- Amen - odpowiedział Joss siedząc przed telewizorem, jedną ręką obejmując Lucy, drugą Toma. Oboje Bensonowie mieli łzy w oczach. Potem były toasty, a dopiero na końcu pomyślano o świątecznym obiedzie.

- To najszczęśliwszy wieczór w moim życiu - wyznała Lucy, kiedy nareszcie zostali sami w sypialni.

Joss objął ją mocno i delikatnie gładząc jej włosy powiedział:

- W moim też. Boże, jak ja marzyłem o tej chwili!

- O chwili, kiedy Tom i Oliwia będą już spali, a my będziemy mieli czas dla siebie? - spytała.

Ku jej zdumieniu Joss potrząsnął głową.

- O chwili, kiedy powiesz te słowa. Żeby je usłyszeć, gotów byłem czołgać się przez dżunglę do Manaus na kolanach.

- Och, Joss, gdybyś wiedział - wyszeptała Lucy opierając mu głowę na ramieniu - gdybyś wiedział, jak ja siebie przez te wszystkie miesiące nienawidziłam...

- Nienawidziłaś? Za co?

- Za te lata, które mogliśmy przeżyć razem.  
- Mocniej przytuliła się do niego. - Starałam się nie dopuścić do siebie myśli, że nie żyjesz. Czułam, że gdybyś umarł, wiedziałabym o tym. Ja po prostu nie mogłam uwierzyć, że nasze wspólne życie się skończyło. Były jednak chwile, kiedy wpadałam w przygnębienie

i ogarniały mnie wyrzuty sumienia. Widzisz, mnie nigdy do głowy nie przyszło, że mogłam coś dla ciebie znaczyć. Byłeś bogiem na Olimpie. W najśmielszych marzeniach nie podejrzewałam, że pomyślisz o Lucy Drummond.

Joss objął ją i pocałował tak gorąco, że zadrżała. Lucy ukryła twarz na jego piersi, a on przytulił policzek do jej włosów.

- Nie jestem żadnym bogiem, Lucy. Jestem zwyczajnym śmiertelnikiem. A teraz jestem po prostu mężczyzną, który bardzo tęsknił za tobą, kochanie.

W nocnej ciszy zaczęły bić dzwony.

- Wesołych Świąt! - powiedziała Lucy z promienną twarzą.

Joss wziął ją na ręce i śmiejąc się powiedział:

- Tak się spieszyłem do ciebie, że nie zdążyłem kupić ci prezentu.

- Przywiozłeś mi prezent, jakiego pragnęłam najbardziej - zapewniła go. - Siebie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pewnego słonecznego czerwcowego popołudnia sześć miesięcy później Lucy siedziała jak zaczarowana przed telewizorem oglądając program zatytułowany: Cud w dżungli. Skromnie opowiedziana przez Jossa historia zaginięcia, przetrwania i ocalenia, była niezwykle wzruszająca. Mimo, że fotograf biorący udział w wyprawie, zginął, jeden z jego aparatów działał i Joss ilustrował komentarz własnymi amatorskimi zdjęciami. Lucy patrzyła ze ściśniętym gardłem na fotografie lasów tropikalnych, przez które jej mąż się przedzierał. Joss nie starał się epatować widza. Żywym językiem opisywał przyprawiający człowieka o klaustrofobię gąszcz, niebotyczne drzewa i bujne zielone poszycie. Wydawało się jej, że słyszy chmary bzyczących owadów i krzyk małp, że gorąca wilgoć pali jej skórę. Były też zdjęcia Indian Arani i ich *malocas*, domków na palach, na wykarczowanym brzegu Amazonki, w których pod wspólnym plecionym z palmowych liści dachem mieszkają całe wielopokoleniowe rodziny. Na jednym tylko zdjęciu zrobionym przez brazylijskiego pilota mignął Joss i Lucy wzdrygnęła się, rozpoznając zapadniętą brodatą twarz.

- Nie płacz, kochanie - powiedział Joss, który bacznie obserwował jej reakcję.

- Cicho! Nie płaczę - Lucy nie mogła oczu oderwać od ekranu. Kiedy pojawiły się napisy, westchnęła

i opadła na oparcie kanapy. - Boże! Ale miałeś szczęście!

- Wiem. Uważam, że jestem największym szczęśliwcem na świecie. Mam ciebie, Toma i Pannę Niespodziankę.

- Nie protestowała, kiedy ją kładłeś spać?

- Protestowała, ale się tym nie przejmowałem. Dostała kolację, pobawiłem się z nią i koniec. Jeśli tylko jej na to pozwolimy, wejdzie nam na głowę. Tomowi też. - Joss pogładził Lucy po włosach. - Dałem Liv wyraźnie do zrozumienia, że chcę spokojnie spędzić chwilę z jej mamą.

- I dobrze. - Lucy objęła go mocno. - Nie mogę przestać cię dotykać, sprawdzać, czy tu jesteś. Myślisz, że mi to przejdzie?

- Mam nadzieję, że nie, bo to lubię - zachichotał i pocałował ją. - Czy wiesz, jak ja cię kocham?

Udawała, że się zastanawia.

- Może tak jak ja?

- Bardziej!

- Niemożliwe!

- Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się latem do Portugalii. Z Tomem i Liv. Może Senhora Vargas znowu wynajęłaby nam dom? I znalazła jakąś dziewczynę do pomocy? Poprzednim razem, co prawda, odmówiłem

Lucy podniosła głowę.

- Nic mi wtedy o żadnej dziewczynie nie wspomniałeś!

- Bo z oczywistych powodów chciałem być tylko z tobą. - Pocałował żonę w czubek nosa. - Nie życzyłem sobie, żeby w jakimś nieodpowiednim momencie ktoś wchodził zamiatać sypialnię.

- Pomyśleć, że sama gotowałam, słałam łożko...
- Niezbyt często.
- To prawda. - Obdarzyła go figlarnym uśmiechem.
- Uważam, że to znakomity pomysł. Ale Tom będzie się pewnie nudził.

- Powiedz mu, żeby zaprosił tego swojego kumpla, jak mu tam, Bennistera. Albo Bena Todda, tu z miasteczka. Weźmiemy wędki i chłopak będzie skakać do góry z radości.

- Masz rację. Dobry z ciebie ojciec, chociaż dopiero niedawno wszedłeś w tę rolę.

- A jakim jestem mężem? - spytał Joss mrużąc oczy.

- Na rzymską piątkę - odparła ochoczo i westchnęła, kiedy Joss zaczął rozpinąć zamek błyskawiczny jej sukni i całować jej odsłonięte ramiona.

- Joss, jest jeszcze biały dzień - protestowała słabo.

- A co to ma do rzeczy? - odpowiedział, ale posłusznie zapiął z powrotem zamek jej sukienki.

Lucy próbowała ukryć rozczarowanie. Joss normalnie nie dawał się tak łatwo poskromić.

- Chcesz się dowiedzieć, jaki mam następny pomysł? - zapytał.

- Jestem pewna, że i tak sam mi powiesz bez pytania!

- Racja. - Widząc minę Jossa Lucy zaczęła podejrzewać, że coś knuje. - Jest niedziela - zaczął.

- Bensonowie przyjdą dopiero rano, mała Oliwia na razie nie płacze, więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy się dziś wcześniej położyć. Chyba że chcesz oglądać film Hitchcocka.

- Widziałam go już dwa razy, więc jeśli czujesz się zmęczony...

- Nie. Wręcz przeciwnie. - Joss wstał i rozprostował ramiona. Był wypoczęty, opalony i pociągający jak zawsze. - Chciałbym ci, moja kochana żono, przypomnieć, że musisz mi wynagrodzić całe dziesięć straconych lat. Odkąd wróciłem z Brazylii płonę przemożną chęcią wykorzystania do maksimum każdej minuty spędzonej razem. To wcale nie znaczy, że musimy się cały czas kochać. Lubię przebywać w twoim towarzystwie, nawet jeżeli jesteś zajęta czym innym. Ale teraz chcę cię zanieść na górę do łóżka i...

Lucy zeskoczyła z fotela. W jej oczach tańczyły figlarne ogniki.

- W takim razie zapowiada się nawet bardziej atrakcyjny program niż ten, który przed chwilą obejrzałam - zażartowała.

- Myślałaś kiedyś - spytał Joss już później odgarniając włosy z jej czoła - czy kiedyś myślałaś, że będziemy się kochać, jak w tej chwili?

- Nie - odpowiedziała z naciskiem. - Rzeczywistość przechodzi moją wyobraźnię.

- Nie to miałem na myśli. Nie seks, chociaż jest mi z tobą cudownie. Chodzi mi o ciebie, mnie, Toma, Liv. Trudno mi czasami uwierzyć, że to nie sen.

Lucy delikatnie ugryzła go w ramię.

- Żebyś uwierzył, że nie śnisz.

- Pogniewasz się - spytał Joss po chwili - jeśli zadam ci osobiste pytanie?

- Nie mogę obiecać, dopóki go nie usłyszę!

- Jak na kobietę liczącą sobie dwadzieścia osiem wiosen i matkę dziesięcioletniego syna, zachowywałaś się bardzo nerwowo podczas naszej podróży poślubnej. Gdybym skądinąd nie znał pewnych faktów, pomyślałbym, że nigdy nie byłaś z mężczyzną.



- Taka byłam niezdarna?
- Nie, taka oczarowana - zaśmiał się Joss i przytulił ją mocniej do siebie.
- To dlatego, że jesteś takim czarującym kochankiem. Tysiące kobiet musiało ci to już mówić. Nie żarzekaj się, bo i tak nie uwierzę.
- Setki - poprawił ją.  
Zachichotała i zamilkła.
- Powiem ci szczerze - odezwała się już poważniejszym tonem - Wtedy to był drugi raz.
- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie miałaś nikogo?
- Joss usiadł i zapalił nocną lampkę, żeby móc się lepiej przyjrzeć twarzy Lucy. - To znaczy, że byłem tylko ja?
- Tylko ty. Pierwsza miłość, ostatnia miłość, bohater, nikkzemnik, zawsze byłeś tylko ty. - Westchnęła. - Przyznam ci się do jeszcze czegoś. Z Simonem zaprzyjaźniłam się tylko po to, żeby być blisko ciebie. Śmieszne, prawda? Jonas Woodbridge, najprzystojniejszy mężczyzna na świecie, i niepozorna Lucy Drummond. Ale by się wszystkie moje koleżanki uśmieły! Lubiłam Simona, wierz mi. Kochałam go, ale inaczej. Wszyscy myśleli, że to dla niego straciłam głowę. Nikt nigdy nie podejrzewał, że cały czas umierałam z miłości do ciebie.
- A najmniej ja sam! Mój Boże!
- I tak pewnego dnia doszło między nami, do czego doszło. Niczego w świecie bardziej nie pragnęłam. Nic i nikt mnie nie obchodził, nawet Simon, a już najmniej Caroline.
- Żałujesz? - spytał Joss głosem pełnym czułości.
- Jak mogłabym? Przecież Tom jest tego owocem. A teraz po latach błędzenia jesteśmy rodziną, mamy Liv. Już dawno przestałam uważać cię za nikkzemnika.

- Powiesz mi, za kogo mnie teraz masz?
- Chcesz, żebym objęła cię za szyję i drżącym głosem nazwała „moim bohaterem”?

Joss potrząsnął głową i zgasił lampę

- Po prostu kochaj mnie, Lucy.
- Kocham cię. I zawsze będę.
- Udowodnij mi to. Pokaż mi, jak bardzo mnie kochasz. Pokaż teraz.

- Z miłą chęcią - roześmiała się Lucy - ale wydaje mi się, że słyszę jakieś kwilenie.

- Nasza córka będzie musiała poczekać - Joss nie wypuszczał Lucy z objęć. - Muszę wpierw nauczyć jej mamę odróżniać rzeczy ważne od mniej ważnych.

- Nie potrzebne mi lekcje. Ty jesteś dla mnie najważniejszy, teraz i zawsze. Och, Joss...

W sąsiednim pokoju mała Oliwia znowu cichutko zakwiliła. Czekwała chwilę z nadzieją, że ktoś się nią zainteresuje, potem głośniej zapłakała. Gdy jednak nikt się nie zjawił, z pomrukiem niezadowolenia włożyła palec do buzi i wkrótce zasnęła darując rodzicom chwilę niezmałconego szczęścia w ich własnym prywatnym raj.